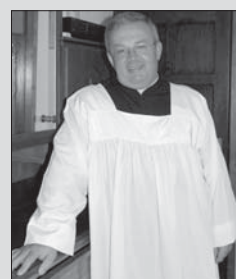




Spis treści

W zakrystii – rozważania ks. Proboszcza o nadziei	1
Promień nadziei – felieton Agaty Tomaszewskiej-Antoniewicz	2
Słowo Boże	3
Córka miłości – Izabela Andrzejuk o nadziei jako cnotcie teologicznej	4
To nie jest czas ciszy – pomisyjna rozmowa Magłorzaty Goławskiej z ks. Arturem Godnarskim	6
U źródeł wiary – wrażenia Jadwigi Rybkowskiej, Jerzego Anteckiego i Marzeny Karpińskiej, uczestników komorowskiej pielgrzymki do Ziemi Świętej	10
Boże Ciało – kalendarz liturgiczny Bartłomieja Godzisz	12
Babcia na 102 – Piotr Zieliński o kimś, komu śpiewać „sto lat” nie uchodzi	12
Kalendarium parafialne	13
Hazard... i walka z samym sobą – korespondencja s. Grażyny Roctawskiej z Australii	14
Chrystus naszą nadzieją – korespondencja Joanny Hozer z USA	14
Misje dla młodzieży – głos w dyskusji zabiera Halina Kość	15
Książki, które polecam – Teresa Poręba rekomenduje książkę „Bóg, Ojciec Miłosierdzia”	16
Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją – felieton Joanny Walkowiak	17
Módlmy się – ks. Łukasz Gołębiowski i trzecie przykazanie dekalogu na trzecie tysiąclecie	18
Gustave Doré „Mojżesz rozbija tablice z przykazaniami”	19
Pierwsza Komunia Święta A.D. 2008, fot. Krzysztof Rodak	20
Willa rodziny Doruchowskich – piękne zakątki Komorowa, fotografuje Bartosz Duczmal	22
Obserwator – czwarta część wywiadu Lidii Kulczyńskiej-Pilich ze Zdzisławem Zawadzkiem	23
Kto pamięta o młynie... – Tomasz Terlecki bada historię Komorowa	28
Reformy gregoriańskie – Melchior Jakubowski czyta z kart historii	30
Wspomnienia wojenne – z pamiętnika Ewy Zielińskiej	31
I swój GPS każdemu Panie Boże daj... – felieton Wojciecha Irmińskiego z cyklu „I tak Bóg stworzył świat”	33
W ogrodzie wspomnień – szkolne lata Aldony Kraus	34
Przytulanki – stały felieton Agaty Tomaszewskiej-Antoniewicz z cyklu „Gawędy młodej matki”	35
To już 10 lat! – jubileusz dziesięciolecia 32. Mazowieckiej Drużyny Harcererek „Mandragora” im. hm. Zofii Florczak	36
Sami o sobie – wolny głos młodzieży Komorowa	37-40
Okładka I, Konstantyn Cიცiszwili – Tomasz – akwarela (wstępny szkic do czekanki), wymiary 70 x 70 cm, 1993 r.	
Okładka II, Doznania – Jakie owoce przyniosły tegoroczne misje parafialne?	
Okładka III, U źródeł wiary – fotoreportaż z pielgrzymki do Ziemi Świętej, fot. J. Łukaszewski, W. Goławski	
Okładka IV, Jubilaci A.D. 2008, fot. Krzysztof Rodak	
Moja babcia, komputer i ja – dodatek do MP	



Nadzieja – czym ona jest dla nas dzieci Boga i uczniów Chrystusa?

W zakrystii

W tej chwili zbawienie jeszcze jest przedmiotem nadziei. Któż bowiem spodziewać się będzie tego, na co już patrzy. [św. Paweł, Rz 8, 24 – przekład z oryginału ks. Mariana Wolniewicza]

Cytat z listu św. Pawła oraz ikonografia okładki – nie zostawiają wątpliwości: przewodnią myślą tego Magazynu jest NADZIEJA.

Trzy cnoty boskie wymawiamy jednym tchem, bo w istocie tworzą one ścisły nierozzerwalny tryptyk i gdy żyjemy „światłem” wszystkich na raz, mamy gwarancję na ustawiczną łączność z Panem Bogiem.

Jan Paweł II porównał WIARĘ, NADZIEJĘ i MIŁOŚĆ do trzech gwiazd jaśniejących na niebie naszego życia duchowego i nazwał je cnotami „teologicznymi”. [Rzym, 22 XI 2000 r. – katecheza w czasie audiencji generalnej]. Dlatego, gdy zastanawiałem się, jak prosto objaśnić istotę NADZIEI, nie wiedziałem od czego zacząć.

Ale nadzieję od pozostałych cnót wyróżnia to, że ona najbardziej wiąże się z naszym ziemskim życiem. Jest niejako łącznikiem między tym co ziemskie i wieczne. Bez niej nasza pielgrzymka do niebieskiego Jeruzalem byłaby nieznośna. Kto ją traci, popada w depresję. Jego życie już na ziemi staje się piekłem. Tracąc nadzieję stajemy się łatwiejszym łupem odwiecznego wroga człowieka, jakim jest anioł ciemności. Kto traci nadzieję, ten traci ducha, popada w lęk, a lęk jest widoczną oznaką utraty ufności PANU, że ON zawsze jest z nami. To wiara w zapewnienia Boga tak pięknie wyśpiewana przez psalmistę – *choćbym szedł ciemną doliną, niczego się nie ulękę, bo mój Pan jest przy mnie...*

To, co mówię, uwypukla ogląd ścieżki życia dwóch uczniów Jezusa – Piotra i Judasza. Obaj dopuszczają się zdrady wobec Mistrza, ale tylko jeden bezpowrotnie traci nadzieję, co doprowadza go do samobójczej śmierci. Przemierzając drogę od grzechu pychy, przez zwątpienia, Judasz popełnia błąd za błędem. Gdy uświadamia sobie swoją wielką pomyłkę – zamiast wzbudzić akt żalu, popada w bezgraniczną rozpacz, bo braknie mu ufności w miłość Boga, że wybaczy mu jego zdradę. Lęk mąci mu umysł i Judasz sam siebie ogranicza w CZASIE. Sam sobie odbiera szansę na pojednanie.



MAGAZYN
PARAFIALNY

ISSN 1505-9839,
Numer 3 (81), 18 maja 2008 r.
Wydawca: Parafia Narodzenia NMP
w Komorowie;

05-806 Komorów, ul. 3-go Maja 9, tel. 0 22 758-06-15

Mail: redakcja@magazynparafialny.org www.magazynparafialny.org

Kolegium Magazynu Parafialnego: ks. Andrzej Szymański – asystent kościelny, Wojciech Irmiński, Małgorzata Goławska (sekretarz redakcji), s. Elwira J. Kruszewska, Katarzyna Nowosielska – red. prowadzący, Gabriela Porębska-Rodak, Maciej Lis, Lech Skupiński, Lucyna Terlecka, S.M. Joanna Wiśniewska (dział młodzieżowy), Piotr Zieliński

Skład komputerowy: BGD Studio SC., ul. Wilcza 51/32, Warszawa, tel. 0 22 622-53-79

Druk: OJA, ul. Sporna 2 F, Warszawa, tel. 0 22 643-77-63

Copyright © Zdjęcia i teksty stanowią własność MP oraz autorów, są chronione prawem.



Tymczasem Piotr zawstydzony „upadkiem” zapłacze nad sobą, a Zmartwychwstały Jezus nie tylko mu wybaczy, ale jeszcze uczyni swoim następcą, bo wie, że żaden człowiek, także Piotr, nie jest herosem.

Zatem nie w tym rzecz, by nie upadać, ale by z nadzieją w miłosierdzie Pana podnosić się. By mimo trudności iść dalej aż do ziemskiego kresu. NADZIEJA nie tylko „trzyma” nas przy Chrystusie, ale także w jedności z sobą i wspólnotą Kościoła. Ona czyni ludzi radosnymi, gotowymi przyjąć wszystko, co niesie życie i zsyła Bóg. Każde dobro i każdą biedę... Nadzieja córka POKORY jest doprawdy darem trudnym do przecenienia, dlatego trzeba ją w sobie pielęgnować, pamiętając, że czyha na nią wielka pokusa, jaką jest rozpacz.

Jak to czynić? Ona niczym czyste źródło tryska w słowie Bożym. Wystarczy często po nie sięgać, aby przeczytać choćby parę linijek i w cichości „izdebki swej duszy” przemyśleć. Nadzieja wraca w czasie modlitwy. Jej niewyczerpanym źródłem jest Eucharystia – komunია Ciała i Krwi Pańskiej.

Dlatego napominam Was o pracę nad swoją duchowością. Wiem, że wielu z Was idzie drogą zaufania Bogu, ale znam też smutną prawdę, że wielu utraciło łączność z Panem. Dlaczego? Bo zbyt zaufało sobie, odrzuciło przykazania Boże. Dlatego w tym miejscu powtórzę, co mówiłem. Wystrzegajcie się beznamietnego uczestnictwa w obrzędach kościelnych, bezrefleksyjnego odklepania pacierza, akceptowania zła, kłamstwa, nieprawości, podziału życia na dwie nieprzystające do siebie części: cywilną i kościelną, bo to prowadzi do duchowej schizofrenii, jest zbrodnią na sobie. Brak w życiu ziemskim pierwiastka duchowego zaprowadzi Was w końcu do pustki i rozpacz, ta zaś do utraty NADZIEI, ale w pierw utracicie wiarę, bo jak mówi poeta: *Nadzieja umiera na końcu...* Wtedy doszłicie do „przepaści”, na dnie której „majaczy” **utrata nadziei na dobre życie wieczne.**

Ks. kan. Andrzej Perdziński
Proboszcz

Promień nadziei



Szeroki Wierch w Bieszczadach

„Niech nasza droga będzie wspólna.

Niech nasza modlitwa będzie pokorna.

Niech nasza miłość będzie potężna.

Niech nasza nadzieja będzie większa od wszystkiego, co się tej nadziei może sprzeciwić.”

Jan Paweł II

Nadzieja jest stanem, który towarzyszy człowiekowi od chwili jego przyjścia na świat. To wiara, optymizm, przekonanie, że spotka nas coś dobrego. Mówi się, że każda z matek oczekujących dziecka jest przy nadziei, a w chwili jego przyjścia na świat pokłada w swoim dziecku olbrzymie nadzieje. Dziecko ma nadzieję, że mama pozwoli mu się pobawić, uczeń – że zaliczy egzamin, lekarz – że dobrze rozpozna chorobę, chory – że znowu powróci do zdrowia. Kiedy choroba jest bardzo ciężka, pocieszamy się, że zawsze jest nadzieja, że to ona umiera ostatnia, nie można jej tracić. Istnieje wiele przykładów na to, jak wielu chorych pokonało swoją niemoc, ponieważ wierzyli, że im się uda, mieli wolę życia i olbrzymią motywację.

Każdy dzień życia stawia nowe wyzwania, część udaje się spełnić, innym nie sposób podolać. To właśnie nadzieja, w tak ludzkich chwilach zwątpienia, pomimo napotykanych kłopotów i niepowodzeń, dodaje skrzydeł i sił do dalszej drogi. Właśnie nadzieja – obok wiary i miłości – jest niezbędna do życia. Ludzie jej pozbawieni nie żyją prawdziwie, popadają w letarg, odrętwienie, czasami depresję. Tracą nadzieję, bo pokładają ją w tym, co ludzkie i kruche. Biblijny Hiob zaufał Panu do końca. Mimo, że wypełniał

wszystkie Jego przykazania, został wystawiony na ciężką próbę. To wzór postawy, że trzeba umieć przyjąć w życiu zarówno dobro jak i zło, być pokornym i mieć nadzieję...

A współczesny świat nie jest w stanie zapewnić jej człowiekowi tak, jak robi to Bóg. Mówi o tym Tomasz á Kempis: „Nie opieraj się na własnych siłach, ale zasadź mocno podstawy swej nadziei w Bogu”. Bo dla wszystkich wierzących w Boga, oprócz ziemskiego wymiaru nadziei, jest jeszcze inne jej znaczenie: to pełne wiary oczekiwanie na spotkanie z Bogiem, na życie wieczne. To wiara, że życie na ziemi nie ma swojego końca w chwili śmierci, że jest jedynie niezbędnym etapem – bez względu na ilość doznanych cierpień i popełnionych błędów – „Kogo Bóg darzy wielką miłością, w kim pokłada wielkie nadzieje, na tego zsyła wielkie cierpienie, doświadcza go nieszczęściem.” (Fiodor Dostojewski). Po śmierci czeka na nas Bóg – uosobienie miłości i dobra. Bóg, który przebacząc kolejny raz, pokłada nadzieję w człowieku. A człowiek ze swojej strony po raz kolejny odnawia nadzieję, że będzie już blisko Boga – „W nadziei bowiem już jesteśmy zbawieni.” [Rz, 8, 24]

**Agata Tomaszewska-
Antoniewicz**





Słowo Boże

18 V Niedziela Trójcy Przenajświętszej	Wj 34,4-6 Ps 8 Dn 3 2 Kor 13,11-13 J 3,16-18	<i>Jezus powiedział do Nikodema: „Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne. Albowiem Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony. Kto wierzy w Niego, nie podlega potępieniu; a kto nie wierzy, już został potępiony, bo nie uwierzył w imię Jednorodzonego Syna Bożego”.</i>
22 V Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa	Pwt 8,2-3.14-16 Ps 147 1 Kor 10,16-17 J 6,51-58	<i>Kielich błogosławieństwa, który błogosławimy, czy nie jest udziałem we Krwi Chrystusa? Chleb, który łamiemy, czyż nie jest udziałem w Ciele Chrystusa? Ponieważ jeden jest chleb, przeto my, liczni, tworzymy jedno ciało. Wszyscy bowiem bierzemy z tego samego chleba.</i>
25 V VIII Niedziela Zwykła	Iz 49,14-15 Ps 62 1Kor 4,1-5 Mt 6,24-34	<i>Jedynie w Bogu szukaj spokoju, duszo moja, bo od Niego pochodzi moja nadzieja. On tylko jest skałą i zbawieniem moim, On moją twierdzą, więc się nie zachwieje.</i>
1 VI IX Niedziela Zwykła	Pwt 11,18.26-28 Ps 31 Rz 3,21-25.28 Mt 7,21-27	<i>Widzicie, ja kładę dziś przed wami błogosławieństwo albo przekleństwo. Błogosławieństwo, jeśli usłuchacie poleceń waszego Pana Boga, które ja wam dzisiaj daję; przekleństwo, jeśli nie usłuchacie poleceń waszego Pana Boga, jeśli odstapicie od drogi, którą ja wam dzisiaj wskazuję, a pójdziecie za bogami obcymi, których nie znacie.</i>
8 VI X Niedziela Zwykła	Oz 6,3-6 Ps 50 Rz 4,18-25 Mt 9,9-13	<i>„Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają. Idźcie i starajcie się zrozumieć, co znaczy: »Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary«. Bo nie przyszedłem powołać sprawiedliwych, ale grzeszników”.</i>
15 VI XI Niedziela Zwykła	Wj 19,1-6 Ps 100 Rz 5,6-11 Mt 9,36-10,8	<i>Chrystus umarł za nas jako za grzeszników w oznaczonym czasie, gdyśmy jeszcze byli bezsilni. A nawet za człowieka sprawiedliwego podejmuje się ktoś umrzeć tylko z największą trudnością. Chociaż może jeszcze za człowieka życzliwego odważyłby się ktoś ponieść śmierć. Bóg zaś okazuje nam swoją miłość właśnie przez to, że Chrystus umarł za nas, gdyśmy byli jeszcze grzesznikami.</i>



O NADZIEI – jednej z trzech cnót boskich

Córka MIŁOŚCI

Nadzieję możemy rozpatrywać w trzech różnych aspektach. Po pierwsze, możemy ją rozumieć jako cnotę teologiczną, po drugie – możemy ją ujmować na poziomie przyrodzonej natury ludzkiej – jako relację wiążącą osoby i wreszcie po trzecie – mówiąc o nadziei możemy mieć na myśli uczucie, jakie budzi się w nas pod wpływem reakcji naszej zmysłowości na spotkaną rzecz.

W pierwszej kolejności chcę zatrzymać się na rozumieniu nadziei jako cnoty teologicznej. Tu najprościej jest zajrzeć do katechizmu i ustalić, czym – według nauki Kościoła katolickiego – jest cnota nadziei: „Nadzieja jest cnotą teologiczną, dzięki której pragniemy jako naszego szczęścia Królestwa niebieskiego i życia wiecznego, pokładając ufność w obietnicach Chrystusa i opierając się nie na naszych siłach, ale na pomocy łaski Ducha Świętego.”¹⁾ Zatem cnota nadziei, która jest „złożona przez Boga w sercu każdego człowieka”, jest sprawnością daną nam przez Boga, a nie uzyskaną wyłącznie na drodze własnej, osobistej pracy. Nadzieja w tym przypadku oznacza, że spodziewamy się czegoś możliwego dla nas do osiągnięcia, dzięki Bożej pomocy. Ten aspekt cnoty nadziei ściśle się wiąże z pozycją człowieka jako pielgrzyma na ziemi. Można powiedzieć, że człowiek jest „in status viatori”, czyli jest „kimś w drodze”. „Być w drodze” oznacza tyle, co „kroczyć ku szczęśliwości”, jaką jest uszczęśliwiająca wizja Boga.²⁾ Chrześcijanin zatem może mieć nadzieję na oglądanie Boga „twarzą w twarz”, na „chwałę nieba”, obiecaną tym, którzy Go miłują i pełnią Jego wolę. Człowiek – pielgrzym spodziewa się osiągnąć to szczęście z łaski i dla zasług, a więc potrzebne są tu dwa składniki: łaska Boża i nasza osobista praca (zasługi). Jednakże sama cnota nadziei (oczekiwanie szczęścia) jest owocem samej tylko łaski.

Nadzieja jest cnotą tylko jako cnota teologiczna. Cnota jest takim usprawnieniem człowieka, które powoduje, że jego postępowanie jest dobre i sam jej posiadacz staje się dobry. Nadzieja zatem jest tylko wówczas nieomylnym ukierunkowaniem się na dobro, gdy bierze swój początek z łaski Bożej danej człowiekowi i kiedy kieruje się ku nadprzyrodzonej szczęśliwości w Bogu. Nadzieja wyłącznie na poziomie przyrodzonej natury ludzkiej – ze swej istoty – nie posiada pełnej pewności w orientowaniu się na to, co prawdziwie dobre. Jednakże – żeby nie popaść w zbyt krytycyzm co do ludzkiej natury – należy zaznaczyć, że stanowi ona pewne podłoże w kształtowaniu się cnoty nadziei. Szczególnie przydatne są w tym procesie dwie cnoty: wielkoduszność i pokora. Wielkoduszność, którą człowiek może sam niejako „wypracować”, jest umiejętnością sięgania ku rzeczom wielkim.³⁾ Z kolei pokora jest właściwym postrzeganiem siebie i swojej godności wobec Boga. Tak ujmowana pokora pozwala zarazem człowiekowi dostrzec swoją wyjątkowość wśród wszystkich innych stworzeń i ogromny dystans, jaki go oddziela i odróżnia od jego Stwórcy. Za takim rozpoznaniem swojej pozycji w duchu pokory powinny podążać adekwatne decyzje.⁴⁾ Pokora nie pozwala nam zapomnieć, że jesteśmy tylko stworzeniami Bożymi, świadomymi własnych ogra-

niczeń, z kolei wielkoduszność pomaga wierzyć we własne możliwości, żywić przekonanie (nadzieję właśnie), że jesteśmy stworzeni ku czemuś wielkiemu.

Omawiając cnotę nadziei nie należy zapominać, że występuje ona wraz z innymi cnotami teologicznymi: miłością i wiarą. Cnota miłości pozwala, aby wola człowieka duchowo zjednoczyła się ze swym celem.⁵⁾ Stąd wyprzedza ona dwie pozostałe w porządku doskonałości i jest formą oraz źródłem doskonałości zarówno wiary, jak i nadziei. Zadaniem wiary jest wprężenie rozumu w kierowanie się ku celowi nadprzyrodzonemu. Rozum do takiego działania potrzebuje pewnych nadprzyrodzonych zasad, poznawalnych w świetle Bożym. Zasady te rozum otrzymuje za pośrednictwem prawd wiary. Warto jeszcze pamiętać, że w dziedzinie powstawania wiara i nadzieja wyprzedzają miłość. Są one pierwsze, gdyż człowiek może kochać to, co rozpoznał jako swoje dobro, a dzięki temu może się też do niego kierować w nadziei osiągnięcia celu. Wiara i nadzieja zależą od miłości, która jest „matką i korzeniem” wszelkiej cnoty chrześcijańskiej i sprzyja wzrostowi cnoty nadziei.

Omówienie z kolei nadziei jako relacji osobowej wymaga swoiście „zejścia” do poziomu przyrodzonej natury człowieka i jego wewnętrznego wyposażenia. Należy tu zwrócić uwagę na dwie sprawy. Po pierwsze na to, że człowiek w ogóle jest. Powodem, podstawą tego, że jesteśmy, jest w nas istnienie, które właśnie sprawia, że jesteśmy. Istnienie przejawia się w nas na różne sposoby. Mówimy na przykład, że ktoś jest dobry, piękny, odróżniamy go od drugiej osoby, cieszymy się, że jest faktycznie itp. Wymienione tu określenia wskazują na tzw. przejawy istnienia (realność, jedność, odrębność, prawdę, dobro, piękno). Po drugie – w nawiązywaniu kontaktów z innymi osobami istotny wydaje się fakt, że jesteśmy rozumni. Właściwie o tym, że jesteśmy osobami, stanowi nasze wyposażenie w intelekt. Dzięki temu możemy podejmować właściwe decyzje, kierować się do tego, co prawdziwe i dobre. To właśnie te dwa składniki: istnienie przejawiające się swymi własnościami i rozumność pozwalają nam nawiązywać relacje nazywane osobowymi (to znaczy relacje nawiązywane przez byty posiadające intelekt). Ta uwaga wydaje się niezwykle istotna, gdyż w zakres takich powiązań wchodzi nie tylko inni ludzie, lecz także Bóg i aniołowie – byty nie posiadające ciała. W relacji nadziei szczególną rolę odgrywa własność dobra. Dobro jest w człowieku takim przejawem istnienia, który polega na oczekiwaniu, że cała osoba, oddziałująca tą własnością, zostanie obdarzona życzliwością i zaufaniem. Nadzieja jest w tym przypadku wzajemnym oczekiwaniem osób nią powiązanych, że obecność drugiej osoby będzie nam dostępna, że będziemy akceptowani. Nadzieję więc stanowi ufność, że osoby, którym uwierzyliśmy, będą dla nas dostępnym dobrem, które nie zawiedzie. Tak więc osobowa relacja nadziei, którą mogą wiązać się dwie osoby, jest skutkiem posiadania przez nich intelektualności oraz własności istnieniowej dobra. Nie należy mylić osobowej relacji nadziei z uczuciem nadziei, które buduje się w



oparcu o uczuciowość wspólną człowiekowi i zwierzętom. Uczucia są zareagowaniem naszej zmysłowości (pożądania zmysłowego) na coś, co sobie wyobrażamy jako dobro lub zło dla nas. A zatem uczucie pojawia się w nas wtedy, gdy chcemy osiągnąć jakąś rzecz, którą ujmujemy jako dobro, bądź gdy chcemy uniknąć jakiejś rzeczy, gdy odbierzemy ją jako złą. Uczucie nadziei pojawia się w nas, gdy rozpoznamy coś jako dobro, które możemy w przyszłości zdobyć, a z którego zdobyciem wiąże się pewien trud. Oczywiście trud ten musi być oceniony przez nas jako możliwy do pokonania, aby mogło to wzbudzić nadzieję. Tak jak osiągnięcie dobra trudnego do zdobycia może zaowocować przyjemnością, tak uznanie trudu za niemożliwy do pokonania może w efekcie przynieść wycofanie się z tego dążenia, a nawet rozpacz – uczucie głęboko destrukcyjne w skutkach dla człowieka. Błędem byłoby jednak uznawać uczucia i uczuciowość za zjawisko negatywne w człowieku. Ważne jest, aby wszystko, co człowiek posiada, znalazło w nim swoje właściwe miejsce. Miejsce w człowieku jego uczuć wyznacza choćby kolejność ich omawiania w tym tekście (po cnotach teologicznych i relacjach osobowych). Ktoś kiedyś powiedział mądre słowa: „Jeżeli Bóg w życiu człowieka będzie na właściwym miejscu, to i wszystko inne znajdzie się na właściwym miejscu”. Mogę się pod tym podpisać, ale chcę jeszcze do tej wypowiedzi dodać, że skoro Bóg dał nam rozum, to po to, żebyśmy z niego korzystali. Św. Tomasz z Akwinu zauważył – a wielu współczesnych psychologów za nim powtórzyło – że uczucia chcą i lubią podlegać rozumowi, i że jest to ich naturalny stan.⁶⁾ Trudno sobie wyobrazić świat i nasze życie bez uczuć, one dodają im barwy, ale też nie powinniśmy pozwalać, aby naszym postępowaniem kierowały wyłącznie uczucia. Uczucie nadziei jest niejednokrotnie „siłą napędową”, która pomaga nam konsekwentnie dążyć do upragnionego dobra, ale musi być „w służbie rozumu”, aby bezkarnie lub po prostu głupie nie przyniosło kłopotów i nieszczęść. Do takich sytuacji właśnie odnosi się przysłowie: „nadzieja matką głupich”.

Podsumowując nasze rozważania warto jeszcze raz podkreślić, że nadzieję jako cnotę teologiczną sprawia w nas Bóg, korzystając zarazem z przyrodzonych możliwości natury ludzkiej, chociażby w postaci wielkoduszności i pokory – cnót, które możemy sami zdobywać. Z kolei osobowa relacja nadziei jest wzajemnym zaufaniem osób, budującym się na istnieniowej własności dobra. Tą relacją możemy się wiązać zarówno z ludźmi, jak i z Bogiem. W przypadku, gdy zabiegamy i troszczymy się o takie powiązania z innymi ludźmi – realizujemy postawę nazywaną humanizmem. Postawę, w której z kolei dbamy o nasze powiązania z Bogiem – nazywamy religią. Ponieważ relacje osobowe są dwukierunkowe, to Bóg będzie ze Swej strony wprowadzał w taką relację treści nadprzyrodzone, które są Jego wewnętrznym życiem. Natomiast uczucie nadziei jest reakcją zmysłowej sfery człowieka na upragnione dobro w sytuacji, gdy jego osiągnięcie wymaga pewnego trudu i wysiłku.

Dr hab. Izabela Andrzejuk



¹⁾ Katechizm Kościoła katolickiego, Pallotinum, Poznań 1994, s.426

²⁾ O miłości, nadziei i wierze, J. Pieper, Poznań 2000, s. 149

³⁾ S. Th. II-II, q.129, a.1c.

⁴⁾ Tamże, q.161,a. 1, ad.2.

⁵⁾ Tamże, I-II, q.62, a.3c.

⁶⁾ Tamże, I, q. 81, a.3c.



Z żalem powiadamy całą wspólnotę, że dnia 7 kwietnia 2008 roku w wieku 85 lat zmarła w Warszawie



Irena Tarchalska
z domu Wroniecka

Była córką zamordowanego w Katyniu oficera Polskiej Policji na Śląsku.

W czasie okupacji związana z ruchem młodych kobiet działającym na rzecz żołnierzy uwięzionych w niemieckich obozach.

Odszedł od nas nie tylko cichy, skromny, nadzwyczaj pracowity i zawsze uśmiechnięty człowiek, ale przede wszystkim oddana matka i babcia.

Msza żałobna odbyła się w miejscowym kościele dnia 12 kwietnia 2008 roku.

Po niej doczesne szczątki śp. Ireny złożono obok męża na Komorowskim cmentarzu.

Żegnając ze smutkiem długoletnią mieszkankę Komorowa składamy wyrazy współczucia synom:
– Romanowi i Andrzejowi z ich rodzinami.
Parafialna Wspólnota

Prosząc o modlitwę rodzina zmarłej zawiadamia, że Msza św. za spokój duszy śp. Ireny Tarchalskiej zostanie odprawiona w naszym kościele 5 maja 2008 r. o godz. 7⁰⁰

Dnia 11 kwietnia 2008 roku z głębokim smutkiem pożegnaliśmy



Zofię Zielińską
z domu Nasłońska

Żonę, Mamę i Babcie mieszkankę Komorowa od 50 lat

Choć dzieciństwo oraz wczesną młodość spędziła w Warszawie

i nie wyobrażała sobie życia poza stolicą, z latami równie silnym uczuciem pokochała Komorów. Była bardzo dobrym, życzliwym i pogodnym człowiekiem.

Dlatego będzie nam Jej bardzo brakowało, ale musimy nauczyć się bez Niej żyć.

O czym z żalem powiadamy:
Córka – Barbara Korpetta z rodziną
Syn – Wojciech Zieliński z rodziną oraz nasz Ojciec



Ks. Artur Godnarski

Już po raz trzeci spotykamy się z Księdzem i grupą młodzieży ze Wspólnoty św. Tymoteusza, żeby słuchać Słowa Bożego. Proszę powiedzieć czy łatwiej jest głosić nauki do społeczności, którą się choć trochę zna, czy raczej fakt ten nakłada na kaznodzieję większe zobowiązanie i odpowiedzialność za ich owoce?

Dla mnie przyjazd do danej parafii po raz kolejny to bardzo pozytywne doświadczenie, chociaż wiem, że niektórzy moi koledzy uważają inaczej. Przyjeżdżają raz do danej parafii i realizują konkretny program. My jednak jesteśmy dużą grupą i pracujemy w nieco inny sposób. Jako kaznodzieja staram się przechowywać materiały z poprzednich spotkań i dlatego wiem, co było mówione i jakie tematy trzeba jeszcze poruszyć. Np. rekolekcje adwentowe, które prowadziliśmy w 2005 roku, miały raczej charakter ogólny. Chcieliśmy przede wszystkim zarysować pewną myśl, jaką Pan Bóg ma w stosunku do człowieka. Później, jak już wiedzieliśmy, że będziemy prowadzić kolejne rekolekcje adwentowe i misje, staraliśmy się podczas naszych grudniowych spotkań przygotować tych, którzy chodzą do Kościoła, do wyjścia na zewnątrz i przyjęcia tych, którzy pozostają gdzieś na uboczu. Program samych misji był dalszym pójściem w głąb.

Przygotowanie rekolekcji, a w zwłaszcza jeśli prowadzi je tak duża

Pomisyjna rozmowa z ks. Arturem Godnarskim

To nie jest czas ciszy

grupa, to spore przedsięwzięcie organizacyjne. Czy wszystko można zaplanować?

Oczywiście, że nie. Jak w każdym działaniu musi istnieć pewien margines swobody i miejsce na improwizację. Chociaż nasze rekolekcje miały nakreślone pewne ramy i klucz sześciu tematów, to jednak pojawiły się dodatkowe, niezaplanowane elementy, jak choćby kazania na wieczornych eucharystiach, które dotyczyły wyznaczonych tematów, ale też wspomagały treść danego dnia. Ponadto fakt, że gościliśmy w domach parafian, umożliwiał nam bieżące poznawanie opinii słuchaczy, rozmowę na tematy, które ich w jakiś sposób poruszyły, które są ważne lub niezrozumiałe. Dyskutowaliśmy o tym, co się podoba, a co nie. W ten sposób mogliśmy nauki poprowadzić w takim kierunku, aby jak najlepiej odpowiedzieć na zapotrzebowanie, dotknąć tych tematów, w stosunku do których wyczuwalimy jakiś problem czy niezrozumienie.

W głoszeniu Słowa Bożego wykorzystuje ksiądz nowoczesne środki komunikacji, pantomimę, głośną muzykę. Wielu, a zwłaszcza młodzieży, taki sposób przekazu bardzo się podoba. Czy nie obawia się Ksiądz, że te zewnętrzne formy mogą nieco przysłaniać przekazywane treści? Czy jest to jedyna droga do pozyskania współczesnego człowieka? Czy Kościół musi również zabiegać o atrakcyjność zewnętrzną?

Musi i to bezwzględnie zabiegać o nowoczesne środki i metody. Postaram się to udowodnić. Dzisiaj świat żyje swoim rytmem, porusza się po swoich torach i swoimi metodami. Kościół nie może bać się wchodzić w pewne nowe przestrzenie i zdobywać uwagę oraz zainteresowanie człowieka. Jeżeli ludzie prowadzący

biznes chcą sprzedać jakiś nowy produkt, muszą go zareklamować, czyli poinformować potencjalnych odbiorców o jego istnieniu. W przeciwnym razie nikt nie będzie o nim wiedział, a przedsiębiorca może spodziewać się porażki. Idąc tym tropem trzeba powiedzieć, że Ewangelia też jest ofertą. Można pokusić się na stwierdzenie, że jest pewnego rodzaju „produktem – ofertą” na rynku bardzo wielu wartości, wśród których żyje współczesny człowiek. Nie lubimy stosować tak marketingowego określenia Ewangelii, jednak w pewnym stopniu może nam to pomóc w przystosowanym do współczesności dotarciu do człowieka z orędziem zbawienia, które jednak trzeba zaprezentować. Ewangelia jest uniwersalna, jednak zmieniają się sposoby, środki komunikacji, tak jak zmienia się świat.

Podczas nauk młodzi mówili świadectwa





To bardzo odważne porównanie...

Tak, ale powiem dlaczego tak uważam. Kiedy byłem w pewnej miejscowości niedaleko Rzymu, poznałem niesamowitą wspólnotę zakonną. Żyją tam wspaniali młodzi ludzie, dzieląc swój czas na modlitwę, adorację Najświętszego Sakramentu, pracę, i naukę. Kiedy pytałem o historie ich życia, dowiedziałem się, że wiele z obecnych tam kobiet, to były prostytutki, wielu młodych chłopaków wyrosło w klimatach harlejowych bohaterów, a jeszcze inni noszą za sobą doświadczenia bardzo głębokich patologii. Ludzie ci o Bogu nie usłyszeli bynajmniej w kościele, bo po prostu tam nie chodzili. Nie byłoby w stanie przyjąć niczego od kapłana, duchownego. Usłyszeli o Chrystusie od innych młodych ludzi, którzy słuchali podobnej muzyki, nosili podobne ciuchy i fryzury. Tylko w taki sposób byli w stanie przyjąć przesłanie Ewangelii, a następnie stopniowo zmieniać swoje życie, aż do odkrycia w sobie powołania do życia w tak radykalnej wspólnocie monastycznej. Nie należy zatem obawiać się, że przekazywanie Ewangelii w tak pozornie lekki sposób, za pomocą nowoczesnych środków, doprowadzi do jej rozmydlenia. Starsi nie rozumieją tego, ponieważ lubią wykład bardzo logiczny, z postawieniem tezy, szukaniem argumen-

i przedstawiali scenki pantomimiczne



Nowoczesne i tradycyjne środki w służbie ewangelizacji

tów, dochodzeniem do konkluzji. Z młodzieżą trzeba pracować inaczej, podawać treści w krótkich mocnych sekwencjach wykorzystując przy tym: obraz, dźwięk, muzykę, taniec, teatr, pantomimę czy pracę własną. Staramy się także docierać do młodych ludzi nie tylko ograniczając się do przestrzeni kościelnej, ale również poza nią, np. w dyskotekach, na imprezach sportowych i dlatego te przestrzenie mają też miejsce podczas rekolekcji.

Zgoda, ksiądz mnie przekonał, ale gdzie miejsce na ciszę, którą coraz trudniej jest znaleźć we współczesnym świecie ?

Cisza jest oczywiście bardzo potrzebna i jeśli ktoś pragnie w ciszy odnaleźć Pana Boga, to zapraszam do naszego domu wspólnoty lub innych podobnych ośrodków, których na terenie naszego kraju nie brakuje.

Natomiast czas rekolekcji, czas misji ewangelizacyjnych, to nie jest czas ciszy. To absolutna pomyłka co do środków. O misjach musi być głośno, jeśli zakładamy dotarcie do tych ludzi, którzy do kościoła nie chodzą, a przebywają w totalnym hałasie i bałaganie. Jeśli ktoś taki nagle zostanie postawiony w stan sterylnej ciszy, to zwariuje, nie da rady. Dlatego trzeba stworzyć dla niego takie warunki, aby mógł stosunkowo bezboleśnie przejść z hałasu codzienności w hałas religijny, bo hałas religijny jest zupełnie

inny. On niesie przekaz, który zmusza do zastanowienia, a z czasem do przemiany wewnętrznej.

Jak w tym wszystkim jednak mają odnaleźć się ludzie starsi, ci co zawsze są i byli w kościele?

Jeżeli mają miłość w sercu, to zrozumieją i przyjmą taki sposób ewangelizacji, a ponadto otoczą tych ludzi i całe misje modlitwą. To jest pewnego rodzaju sprawdzian, który pokazuje czy trwając w Kościele potrafią cieszyć się z nawrócenia drugiego człowieka, czy są jak zgorzkniały starszy syn z przypowieści o marnotrawnym synu, który będąc zawsze z ojcem był synem tylko z nazwy, a tak naprawdę stał się niewolnikiem, ale to nie ojciec go nim uczynił. Nieprzypadkowo o tym mówiłem na rozpoczęciu nauk rekolekcyjnych.

Rekolekcje w szkole to chyba dość odważne przedsięwzięcie. Słyszałam już pewne pozytywne opinie. Jak przyjęła to sama młodzież i nauczyciele?

Przeprowadziliśmy ankietę wśród młodzieży. Właśnie jestem po lekturze tego, co napisali. Rzeczywiście przyjęli te rekolekcje bardzo pozytywnie. Przede wszystkim chyba ich zaskoczyliśmy zarówno co do formy, jak i treści. Pierwszym zaskoczeniem było pewnie to, że nasze spotkania zaczynaliśmy nie od modlitwy czy piosenki religijnej, ale od zwykłej świeckiej melodii, a na-

stępnie pokazaliśmy, że przekaz ewangeliczny nie musi mieć wcale formy tradycyjnego i monotonnego kazania, ale może być dynamiczny i posługiwać się bardzo różnymi środkami wyrazu.

Jak można poznać, że Słowo Boże trafiło do słuchaczy? Kiedy można będzie powiedzieć o owocach misji?

Owoce misji już są. Świadczą o tym przede wszystkim spowiedzi ludzi, którzy po wielu latach przerwy znowu przystąpili do konfesjonału, ich łzy, wzruszenie.

Cieszy także fakt, że młodzież szkolna i studencka wyraziła chęć spotkań, które mają pomóc w dalszym wzrastaniu w wierze. To są te owoce, jednak trwałość ich zależy już od miejscowych duszpasterzy oraz ludzi dobrej woli z całej parafii, którzy zechcą wspierać swoich kapłanów w tym dziele.

Podobnie jak nasz Magazyn Wspólnota św. Tymoteusza, której Książka jest twórcą, obchodziła w grudniu 10-lecie swojego istnienia. Każdy jubileusz to okazja do podziękowania Bogu za wszystkie łaski i otrzymane dary, ale także moment na podsumowanie tego co się udało, co jeszcze należałoby udoskonalić, w jakim dalej pójść kierunku. Proszę podzielić się tym z nami.

Pierwsze lata były rzeczywiście „szczenięcym okresem” pierwszych prób, porażek i sukcesów. Rozpoczynaliśmy z bardzo młodymi ludźmi ze szkoły średniej, którzy w między-

Nauki dla studentów

czasie pokończyli studia, założyli rodziny, wyjechali i następnie powrócili do Gubina. Dla mnie to też były pierwsze lata drogi kapłańskiej. Wraz z upływem czasu i naszego dojrzewania wzrastała także nasza wspólnota. Dziś mając już określone doświadczenia i większą wiedzę na wiele tematów, możemy zapewnić coraz wyższy poziom naszej pracy. Dopracowaliśmy się konkretnych narzędzi i metod docierania do młodych ludzi.

Nasze wizje i marzenia są jednak o wiele, wiele szersze. Przykładem jest projekt E 2033, który przygotowuje obchody jubileuszu 2000-lecia zbawczej Męki, Śmierci i Zmartwychwstania Chrystusa. Obecnie jest on bardzo dyskutowany. Niedawno na ten temat prowadziłem na KUL-u zajęcia z doktorantami. Jest to bardzo duży projekt docierania do młodych ludzi z pomocą i zaangażowaniem rodziców oraz szkoły. Misje w Komorowie były pewnym elementem przygotowania do wdrożenia tego projektu, przetestowaniem niektórych metod i narzędzi pracy z młodzieżą.

To jednak bardzo odległe plany...

Nie, dlatego, że rok 2033 to zamknięcie tego projektu, natomiast początek to rok 2010.

Kościół zresztą potrzebuje właśnie takich dalekosiężnych planów dlatego, że krótkowzroczność nie popłaca i sprawia, że działamy bez celu, bez ładu, na oślep lub organizujemy tylko doraźne akcje, przypominające wstrzą-



Na pamiątkę misji zostały zamówione różańce z drzewa oliwnego z Ziemi Świętej

sy defibrylatora na pobudzenie denata, a nam chodzi o to, żeby człowiek żył, a nie był poddawany wstrząsom.

Z waszą wspólnotą nierozłącznie kojarzy się „Przystanek Jezus”. Czy właśnie od tego się zaczęło, czy to była kolejna inicjatywa?

Przystanek Jezus powstał w momencie, kiedy nasza wspólnota została poproszona przez biskupa, żeby zorganizować coś dla młodzieży uczestniczącej w *Przystanku Woodstock*. Jest to przykład właśnie takiej dalekowzroczonej inicjatywy. Jednak to nie jedyne dzieło naszej wspólnoty. Dzięki *Przystankowi* mogliśmy te misje poprowadzić w taki właśnie, a nie inny sposób, ponieważ tam poznaliśmy ludzi, którzy są ewangelizatorami i razem z nami pracują. Ci ludzie dobrowolnie poświęcają swój prywatny czas, aby pomagać innym zbliżyć się do Boga.

Czy młodzi ludzie chętnie podejmują się pracy na rzecz innych ?

Obecnie można zauważyć, że młodzi ludzie coraz częściej poszukują pewnych przestrzeni, gdzie mogliby się zaangażować, pracować jako wolontariusze i służyć innym. W tym celu nierzadko biorą roczne urlopy dziekańskie, pragnąc ten rok poświęcić dla Chrystusa. Niektórzy wyjeżdżają za granicę i tam podejmują wręcz niesamowite zadania. Niedawno jedna młoda dziewczyna z Poznania – Honorata





Poświęcenie różańców i krzyży misyjnych

– zgromadziła 50 tys. zł i za te pieniądze zbudowała dom dziecka w Afryce. Spotkałem też wolontariuszy w Kamerunie oraz w Izraelu, gdzie młodzi ludzie z Francji, Niemiec, Włoch i Polski opiekowali się chorymi dziećmi.

Nasza wspólnota też stwarza takie możliwości tym wszystkim, którzy mają pragnienie docierania z Ewangelią do młodych ludzi. Mogą pracować u nas i nawet w ten sposób odrobić służbę wojskową. Temu służy m.in. nasze Młodzieżowe Centrum Formacji.

W ostatnim czasie dane było Księdzu przebywać blisko rok w Ziemi Świętej i stąpać śladami Chrystusa. Czy pobyt ten odkrył Księdzu jakieś nowe spojrzenie na przesłanie Ewangelii, czy ma wpływ na głoszone Słowo Boże?

Bezwzględnie tak. Bo kiedy się tam przebywa, to nasiąka się tym klimatem, jest też czas na to, żeby pobyć w ciszy i w samotności, w tych wszystkich miejscach, w których przebywał Jezus. Taki czas wyhamowania, kontemplacji, medytacji i zatrzymania się na Słowie Bożym był mi bardzo potrzebny i oczywiście, że inaczej doświadcza się tego, co czyta się w Piśmie św. Komuś, kto nie był w Ziemi Świętej, trudno sobie wyobrazić chociażby takie Jerycho, które jest najstarszym miastem świata. A kiedy się tam przebywa, to poprzez klimat, oglądane budowle, krajobrazy, spoty-

kanych ludzi można bardziej sercem dotknąć naszej wiary. Nie chodzi tu zatem o poszukiwanie argumentów intelektualnych, ale kontemplację sercem tego, co już wiemy.

Nasza rozmowa dobiega końca. Czy jeszcze coś chciałby Ksiądz powiedzieć nam na zakończenie tej rozmowy?

Moim życzeniem byłoby, abyście zrozumieli, że Kościół jest wspólnotą wspólnot i żeby każdy z mieszkańców Komorowa znalazł swoje miejsce

w Kościele, ale nie tylko na niedzielnej liturgii, lecz także poza nią. Kiedy przebywałem w Ameryce, to miałem okazję przekonać się, że tamtejszy parafianin oprócz liturgii niedzielnej przynajmniej trzy razy w tygodniu bywa w swojej parafii, udzielając się w pracy charytatywnej lub szkole biblijnej i tam rzeczywiście jest miejsce jego rozwoju duchowego. Nie można bowiem na dłuższą metę utrzymać takiego stanu rzeczy, że żyje się tylko od rekolekcji do rekolekcji. I wtedy każde rekolekcje stają się taką reanimacją religijnego „trupca”, który trochę ożył na rekolekcjach, obumiera w ciągu roku i znowu ożywia się podczas następnym rekolekcji.

Potrzebujemy robić piękne rzeczy, duże projekty dla lokalnego środowiska, a to są w stanie robić ludzie, którzy nie tylko myślą o sobie, ale o innych, a siłę czerpią od Chrystusa, z żywej relacji z Nim, codziennej modlitwy, życia sakramentalnego i bezinteresowności, której uczy nas Jezus.

Bóg zapłać za szczerą i pouczającą rozmowę. Życzę Księdzu w imieniu swoim i całej naszej wspólnoty, aby głoszone Słowo Boże poruszało serca słuchaczy i było dla nich źródłem wewnętrznej przemiany oraz wzrostu miłości do Chrystusa i drugiego człowieka.

Małgorzata Goławska
Zdjęcia: B. Duczmal, M. Lis



Podczas Drogi Krzyżowej ulicami Komorowa krzyż nieśli również członkowie wspólnoty św. Tymoteusza





Garść wrażeń z pielgrzymek do Ziemi Świętej

U źródeł wiary

W dniach 12–19 kwietnia 2008 r. nie było nas (grupy 53 osób) w Komorowie. Ksiądz kanonik Andrzej Perdzyński przeniósł nas na inną ziemię. Na ziemię, gdzie urodził się, żył, nauczał, czynił cuda, został umęczony, pogrzebany – również na tej ziemi zmartwychwstał – Pan Jezus Chrystus.

Poznaliśmy miejsca urodzenia i pobytu Matki – Najświętszej Marii. Były to miejsca i miejscowości, w których zmieniały się języki, cywilizacje i coś więcej: ucieleśniona rzeczywistość biblijna, zaklęte w kamieniu i piasku wersety Pisma Świętego, z którego wyrosła cała nasza kultura, nasza rodzina, chrześcijańska Europa. Tu stając się uczestnikami historii, stajemy się jej świadkami. Jawią się przed nami żywe postacie sprzed tysięcy lat, wydarzają się tam te historie, ożywają kamienie. Są to miejsca związane z dziejami Pana Jezusa, widome znaki zdumiewającej przeszłości, wykopaliska, architektura, nagromadzenie atrybutów wiary i miejsc świętych, różnych religii – zachęcające do głębokiej refleksji.

Pielgrzymka była dla nas powtórkową katechezą ze Starego i Nowego Testamentu. Obecnie uczestnicząc we mszy świętej myślimy jesteśmy w miejscach, gdzie wszystko



fol. J. Łukaszewski

można zobaczyć, bo przecież byliśmy u źródeł chrześcijaństwa, utrwalonego w księgach Pisma Świętego.

Ks. kanonik i przewodnik w czasie ośmiu dni naszego pielgrzymowania zadbali również o to, abyśmy mogli zobaczyć miejsca nieprzewidziane w programie i tak: Muzeum Historii Holokaustu – Yad Vashem, Stare Miasto – Jaffa i Tel Awiw nocą. Kąpiel w gorących źródłach w Hamat Garder miała na celu poprawę naszego stanu zdrowia.

Wróciliśmy z rozmyślaniami o przesłaniu pokoju (pomimo złożonych problemów izraelsko-palestyńskich), wiary, nadziei, powszechnego dobra, jakie emanuje z tej Ziemi.

Za wszystko dziękujemy księdzu kanonikowi Andrzejowi Perdzyńskiemu i przewodnikowi Racheli.

Jadwiga Rybkowska

Podróż do Ziemi Świętej stała się spełnieniem pragnienia, które tkwiło we mnie od bardzo dawna.

Zawsze wiedziałem, że kiedyś się to spełni, choć nie spodziewałem się,

że będzie to właśnie teraz przy okazji pielgrzymki parafialnej.

Każdy z nas ma własne wyobrażenie miejsc, po których wędrujemy w trakcie roku liturgicznego i w mo-

dlitwach. Tak jak się spodziewałem, pielgrzymka stała się dla mnie bardzo ciekawą konfrontacją wiary, wyobrażeń i prawdy historycznej.

Czułem, jak każdego dnia zagłębiałem się coraz bardziej w świecie, w którym nie są istotne sprawy bieżące otaczające nas na co dzień. Na własne oczy oglądałem burzliwą i zawiłą historię, jaka przewijała się przez tę Ziemię w okresie ostatnich kilku tysięcy lat. Zaiste bardzo zawiłą. Szukałem jednak tutaj tego, co zakiełkowało w moim sercu i jest niezmiennie, bez względu na czas i ludzi. Pierwszym takim miejscem, które odnalazłem, było Jezioro Galilejskie, a szczególnie wąwóz, którym Jezus tutaj przychodził. Niezmieniony ani przez czas, ani przez człowieka. Następne było Kafarnaum, które, mimo iż legło w gruzach i teraz można oglądać jedynie jego ruiny, jest miejscem autentycznym, w którym chodził i nauczał Jezus oraz w którym mieszkał Św. Piotr.

Następnym wspaniałym miejscem była wynosząca się imponująco nad równinę góra Tabor. To tutaj Jezus przemienił się wobec wybranych apo-

Góra Świątynna



fol. J. Anteki



stołów a Św. Piotr chciał zbudować 3 namioty dla Eliasza, Mojżesza i Jezusa. Duże wrażenie zrobiły na mnie również piękne krajobrazy Judei, których atmosfera jest specyficzna i niezmienna, między innymi: miejsce spotkania Marii i Elżbiety w okolicach Jerozolimy, Pustynia Judzka, Góra Kuszenia Jezusa koło Jerycha – najstarszego zamieszkałego miasta świata (11 000 lat). Tu również widziałem najstarszą budowlę świata wzniesioną ręką ludzką – podstawę wieży liczącą sobie ok. 10 000 lat. Wspaniale i majestatycznie wyglądały prastare drzewka oliwne w ogrodzie Getsemani, w którym modlił się Jezus, zanim został wydany. Tu czas zatrzymał się jakby w żywej materii, aby również pielgrzymi mogli stać się świadkami Męki Pańskiej. Nawet słońce ukazało nam swoje zadziwiające piękno w tym niezwykłym miejscu rozbłyskując feerią barw swoich promieni. Sama obecna stara Jerozolima i świątynia jerozolimską zostały zburzone i tylko w niektórych miejscach można podziwiać autentyczne mury. Te właśnie miejsca szczególnie starałem się odszukać podczas pobytu w tym szczególnym mieście. Niektóre z nich to Ściana Płaczu, gdzie żydzi oplakują swoją świątynię i modlą się do Boga oraz mury obronne, fundamenty pałacu Kajfasza i brama lwia.

Widziałem też inne niezwykle miejsca, choć zmienione z biegiem czasu przez ludzi: Grotę Narodzenia w Betlejem, Golgotę i Grób Pański, które znajdują się obecnie wewnątrz bazylik. Nawiedzenie tych miejsc uwalnia jednak niewypowiedziane emocje i niejeden pielgrzym może doznać zawrotów głowy.

Widziałem cudowną sadzawkę Siloe, Drogę Krzyżową i wiele innych wspaniałych miejsc z życia i działalności Jezusa i apostołów, których nie sposób w szczegółach wymienić i spamiętać.

Zachęcam wszystkich do osobistego odbycia tej wspaniałej podróży w czasie do wnętrza samego siebie, aby osadzić naszą wyobraźnię w rzeczywistości Ziemi Świętej. Zwłaszcza, że atmosfera pielgrzymki dzięki Ks. Proboszczowi i wyjątkowej pani przewodnik była niezapomniana.

Jerzy Antecki

Świadectwo wiary, która przetrwała tysiące lat i pozostanie poprzez wszystkie czasy...

Wiele się spodziewałam po tej pielgrzymce, nawet bałam się, że moje oczekiwania są zbyt wygórowane. Pojechałam, żeby oderwać się od codziennych obowiązków, wiecznego zaganiania i znaleźć więcej czasu na skupienie się wokół Boga, tajemnicy Zmartwychwstania Chrystusa, którego kolejną rocznicę obchodziliśmy kilka tygodni wcześniej. Postanowiłam każdy dzień pielgrzymki dedykować komuś potrzebującemu, bo przecież znamy te osoby na co dzień, to są często nasi najbliżsi, przyjaciele, sąsiedzi, koledzy z pracy... W pogoni dnia codziennego często zaniedbujemy relacje z nimi tłumacząc się zapracowaniem i brakiem czasu. Pragnęłam to nadrobić nie tylko modląc się w ich intencji, ale także rozmyślając o moim stosunku do nich, o tym, czy zawsze jestem gotowa ich słuchać, zauważać ich problemy, pomagać, wspierać. Ksiądz Andrzej Perdziński podczas mszy, które odprawiane były każdego dnia, zachęcał nas do głośnego wypowiadania prośb w miejscach, gdzie swoje stopy stawiali Chrystus i jego apostołowie, Maryja, Jan Chrzyciel oraz inne postaci biblijne. To były wzruszające momenty, podczas których każdy z nas się otwierał, dzielił swoimi troskami i prosił o wysłuchanie słowami „Ciebie prosimy, wysłuchaj nas Panie”. Myślę, że taka wspólna modlitwa nie tylko wzmacnia naszą wiarę, ale również zbliża ludzi, porusza serca, uczy pokory i wdzięczności za to, co każdy z nas w swoim ziemskim życiu otrzymał.

Nasza pielgrzymka dotarła do znaczących miejsc nierozłącznie związanych z Chrystusem: Betlejem, Kany Galilejskiej, Nazaretu, Kafarnaum, Jeziora Galilejskiego, rzeki Jordan, Góry Tabor, Emmaus i Jerozolimy. I tak jak Chrystus urodził się w Betlejem jako niemowlę, przeszedł życie nauczając i czyniąc dobrze, wielokrotnie doznawał krzywd, upokorzeń i cierpienia, aż w końcu został ubiczowany, powieszony na krzyżu, na którym skonał, a następnie zmartwychpowstał, tak i my odbywamy naszą wędrówkę życia Jego śladami mierząc się z trudami, dzieląc miłość z bliskimi, cierpiąc, po to, aby tak jak Chrystus podnosić się z upadku, pokonywać problemy z nadzieją zmartwychwstania.

Wszystkie nawiedzane miejsca są świadectwem naszej wiary. Dreszcze przechodzą po plecach i oczy wypełniają się łzami, kiedy dotykamy miejsca, w którym po wbiciu krzyża rozstała się ziemia, nawiedzamy Grób Pański, stoimy obok Golgoty, patrzymy na drzewa oliwne, które były świadkami modlitwy Chrystusa w noc przed śmiercią, wkładamy ręce do rzeki Jordan, w której odbywały się pierwsze chrześcijańskie chrzty, w tym chrzest Chrystusa z rąk Jana Chrzyciela, płyniemy statkiem po tajemniczo spokojnym owianym mgłą Jeziorze Galilejskim, stoimy na dziedzińcu przed pomnikiem z napisem „non novi illum” (nie znam tego człowieka), przypominającym trzykrotne wyparcie się Jezusa przez Św. Piotra. I zaraz nachodzi refleksja, czy ja zawsze jestem wierna Bogu, czy są momenty, w których wolałabym się wyprzeć Chrystusa, który stawia wysokie wymagania. I zaraz za tą refleksją przychodzi nadzieja, że Chrystus mi wybaczy te ludzkie chwile zwątpienia, tak jak wybaczył Św. Piotrowi, który otrzymał najważniejsze zadanie od swojego Mistrza – „paś owce i baranki moje”. Tak też każdy z nas ma do spełnienia swoje zadanie, które z pomocą Bożą wypełnia najlepiej jak potrafi.

I na koniec Jerozolima – miasto pokoju, którego nazwa jest przewrotna, bo pokój tutaj był wielokrotnie zakłócany, to miejsce uwidaczniające nadzieje i tęsknoty mieszkańców: synagogi żydowskie u boku starożytnych świątyń, meczety islamskie, liczne punkty działalności Jezusa oraz miejsce jej zakończenia – Droga Krzyżowa (Via Dolorosa), także Bazylika Grobu Świętego i miejsce Zmartwychwstania. Kulminacją naszej pielgrzymki jest Ściana Płaczu, do której ze wzruszeniem każdy z nas zaniósł zwiłki papieru z prośbami naszymi, naszych rodzin i przyjaciół z nadzieją, że Bóg nas wysłucha. Wzruszająca chwila, gorąca modlitwa, skupienie na twarzach, a nawet łzy...

Poznając bolesną historię kraju Izrael, który w tym roku obchodzi 60. rocznicę swojego istnienia, a jednocześnie zachłystując się urokiem tak drogich dla każdego wierzącego miejsc, przyłączam się do słów i modlitwy papieża Jana Pawła II, który tak pisał w liście apostolskim „Redemptionis Anno”: „Myślę o dniu, w którym żydzi, chrześcijanie i muzułmanie będą się wzajemnie witać w tym mieście pokoju pozdrowieniem, którym Chrystus powitał swoich uczniów po zmartwychwstaniu: Pokój wam...”

Następna pielgrzymka do Ziemi Świętej już we wrześniu br. Jeśli ktoś nie uwierzył, bo nie zobaczył, namawiam serdecznie do wyjazdu, który umacnia wiarę, napędza dumą z faktu bycia dzieckiem Bożym, budzi do życia ku chwale Pana. Polecam gorąco.

Marzena Karpińska



Kalendarz liturgiczny

Boże Ciało

Kościół katolicki obchodzi święto ku czci Najświętszego Sakramentu. Boże Ciało jest uroczystością obchodzoną w ostatni czwartek po oktawie Zesłania Ducha Świętego. Jest to święto ruchome. W Polsce jest dniem wolnym od pracy, w innych krajach przeniesiono je na najbliższą niedzielę.

Boże Ciało to uroczystość liturgiczna ku czci Najświętszego Sakramentu połączona z procesją do czterech ołtarzy. Celem jest uczczenie ustanowienia Eucharystii przez Chrystusa w czasie Ostatniej Wieczerzy.

Pośrednią inicjatorką święta Bożego Ciała była święta Julianna z Cornillon – przeorysza klasztoru augustynianek w Mont Cornillon w pobliżu Liège. W 1245 r. otrzymała objawienia, w których Chrystus żądał ustanowienia osobnego święta ku czci Najświętszej Eucharystii. Biskup Liège, po naradzie z kapitułą i po pilnym zbadaniu objawień, postanowił ustanowić święto. W 1246 r. odbyła się pierwsza procesja eucharystyczna.

Duchowieństwo uznało krok ordynariusza za przedwczesny, a św. Juliannę za heretyczkę. Jednak kardynał Hugo z Saint-Cher po ponownym zbadaniu sprawy zatwierdził święto.

W 1251 r. archidiakon katedry w Liège, Jakub, poprowadził ulicami procesję eucharystyczną. Został on wkrótce patriarchą Jerozolimy i papieżem Urbanem IV i ustanowił tę uroczystość bullą. Określił jako pamiątkę bardziej uro-



Boże Ciało – ilustracja z Mszału Rzymskiego z 1912 r.

czystą i świąteczną w porównaniu z sakramentalną pamiątką, sprawowaną w codziennej Eucharystii. Ten sam papież używa w innym miejscu określenia: Święto Najświętszego Ciała Naszego Pana Jezusa Chrystusa. W językach europejskich nosi nazwy: we Włoszech – Corpus Domini, w Wielkiej Brytanii – Corpus Christi, we Francji – Fête-Dieu, a w polskim Mszału Rzymskim z 1970 r. – Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Pańskiej, w języku potocznym zwana Bożym Ciałem. W Polsce po raz pierwszy wprowadzono uroczystość Bożego Ciała w diecezji krakowskiej w 1320 r.

Procesja w uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Pańskiej wyrusza z kościoła po głównej mszy św. Wierni, zgodnie z wielowiekową tradycją, niosą feretrony, chorągwie, dziewczęta sypią kwiaty, unosi się wonny dym kadzideł, biją dzwony, a śpiewowi pieśni eucharystycznych często towarzyszy orkiestra. Procesja zatrzymuje się przy czterech ołtarzach.

O kimś, komu śpiewać 100 lat nie uchodzi...

BABCIA na 102

Moja Babcia 11 kwietnia skończyła 102 lata. Informacja sama z siebie nie wymaga komentarza. Gdy moja Babcia skończyła 98 wiosnę, przestała mieszkać sama, ale tylko dlatego, by zająć się swoją córką, która straciła męża – mojego Tatę.

Pewnie Was najbardziej interesuje recepta Babci na długie i pogodne życie w dobrym zdrowiu. Jest bardzo prosta: normalnie żyć, normalnie jeść i nie „zabijać się”, bo nie warto.

Słowem humor i modlitwa na zmianę. Żadnych diet, dbania o siebie i polityki...

Na temat mojej Babci w rodzinie krąży wiele najzupełniej autentycznych anegdot. Jedną pamiętam bardzo dokładnie, bo pochodzi z moich czasów, choć z bardzo wczesnego dzieciństwa, a więc ma ponad czterdzieści lat. Jest to opowieść o babcinej spowiedzi.

Akt pokuty miał się już ku końcowi, gdy Babcia wyznała, że opuszcza niedzielną mszę świętą. Na co ksiądz pyta:

– Dlaczego, córko, opuszczasz Eucharystię?

– Bo jestem stara, chora i nie mogę już tak daleko chodzić... – odpowiedziała babcia. Spowiednik wyjrzał z konfesjonatu i krzyknął:



Babcia – Helena Brzostek, z córką Teresą Zielińską i swym wnukiem Piotrem

– To nieprawda, jesteś młoda i zdrowa jak koń!

– Ja zdrowa! Co ojciec wie o moim zdrowiu? – powiedziała Babcia z żalem w głosie i poruszona wyszła z kościoła. Wtedy była szczerze oburzona, a dziś z tej historii się śmiejemy i Babcia z radością pyta: – No i kto miał rację?

Moja Babcia miała trudne, wcale nielekkie życie. W wieku siedmiu lat straciła ojca (mego pradziadka Edwarda), a wtedy była najstarsza z czworga rodzeństwa. Wychowywała się w skrajnym ubóstwie. Później były dwie wojny światowe, które w sposób straszny ją dotknęły. Postrzelona w czasie Powstania ciężko chorowała. Przedwcześnie zmarł jej pierwszy mąż – Roch. Doprawdy wiele przeszła i chyba dlatego z pokorą akceptuje wszelkie życiowe trudności.



Uroczystość Bożego Ciała w religijności polskiej ma duże znaczenie. Zakonieniona nazwa Boże Ciało kładzie akcent na boskość Chrystusa. Procesje eucharystyczne, które w tym dniu wychodzą na ulice miast, przypominają wiernym, że są zobowiązani do głoszenia Chrystusa, że religia nie jest „sprawą prywatną”.

Wielu katolików w szczególności sposób przygotowuje się do procesji Bożego Ciała. Na trasie procesji domy przystrojone są zielenią, kolorowymi sztandarami, chorągwiami, obrazami z wizerunkiem Chrystusa, a ulicami miast podążają kolorowe tłumy wiernych.

Najpełniej bogactwo treści związane z tajemnicą Bożego Ciała podkreślił Adam Mickiewicz: „Słowo stało się ciałem, ażeby na nowo twoje ciało człowieku, powróciło w Słowo”. I choć wśród polskich katolików słyszy się często krytyczne uwagi dotyczące „odpustowego” i „mało duchowego” charakteru procesji, tłumy podążające tego dnia ulicami miast nie rzędną.

Procesja powinna iść w odpowiedniej kolejności: krzyż, feretrony, sztandary, chorągwie, siostry zakonne, dziewczynki sypiące kwiaty, ministranci, lektorzy, kapłani, Najświętszy Sakrament, wierni.



Bartłomiej Godzisz

Jeszcze pamiętam z dzieciństwa, że specjalnością Babci były opowieści niestworzone, po których bałem się wieczorem w łóżku zamknąć oczy. Dominowała w nich tematyka dobrych i złych dusz oraz śmierci. Opisy ostatnich chwil życia najbliższych i późniejsze z nimi „kontakty”... Choć braliśmy je z przymrużeniem oka, jednak ciarki latały po plecach. Babcia pamięta ks. Stefana Wyszyńskiego – prymasa, który był starszy od niej o pięć lat i ciągał ją za warkocz. Oczywiście w dzieciństwie, w szkole w Zuzeli, bo to był organistego syn. Wszyscy bliscy Babci umierali zawsze w kwietniu, Jej mama i rodzeństwo... Dlatego Babcia uważa i my wraz z nią, że jak przeżyje kwiecień, to zostanie Jej od Boga dany jeszcze cały rok! Tak myślimy od zawsze. Póki co, jest zdrowa i w miarę sprawna. Jest dumą swojego syna, najwyższej klasy pilota Janusza, córki Teresy, czworga wnuków i ośmiorga prawnuków.

Babciu, Babciu Kochana – sto lat, to znaczy jeszcze sto!



Piotr Zieliński

Kalendarium parafialne

S	M	T	W	T	F	S
					1	2
3	4	5	6	7	8	9
10	11	12	13	14	15	16
17	18	19	20	21	22	23
24	25	26	27	28	29	30

MAJ

Nabożeństwa Majowe codziennie o godz. 17.15

- 18 V – niedziela – UROCZYSTOŚĆ NAJŚWIĘTSZEJ TRÓJCY – rocznica I Komunii
- 22 V – czwartek – UROCZYSTOŚĆ NAJŚW. CIAŁA I KRWI CHRYSSTUSA. Procesja po mszy św. o godz. 11.00 (nie ma mszy św. o godz. 12.30)
- 23 V – piątek – adoracja Najśw. Sakramentu od godz. 16.00. Koronkę do Miłosierdzia Bożego poprowadzi Legion Małych Dusz
- 25 V – Ósma Niedziela Zwykła
- 30 V – piątek – UROCZYSTOŚĆ NAJŚWIĘTSZEGO SERCA PANA JEZUSA – adoracja Najśw. Sakramentu od godz. 16.00. Koronkę do Miłosierdzia Bożego poprowadzi Grupa Charytatywna
- 31 V – sobota – Święto Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny

CZERWIEC

Nabożeństwa Czerwcowe codziennie o godz. 17.15

- 1 VI – Dziewiąta Niedziela Zwykła
- 6 VI – pierwszy piątek miesiąca – spowiedź i adoracja Najświętszego Sakramentu od godz. 16.00. Koronkę do Miłosierdzia Bożego poprowadzą ss. misjonarki
- 8 VI – Dziesiąta Niedziela Zwykła
- 13 VI – piątek – adoracja Najświętszego Sakramentu od godz. 16.00. Koronkę do Miłosierdzia Bożego poprowadzą ss. służebniczki
- 15 VI – Jedenasta Niedziela Zwykła
- 18 VI – środa – zakończenie roku szkolnego i katechetycznego mszą św. o godz. 16.30. Spowiedź od godz. 16.00
- 20 VI – piątek – adoracja Najświętszego Sakramentu od godz. 16.00. Koronkę do Miłosierdzia Bożego poprowadzi Akcja Katolicka
- 22 VI – Dwunasta Niedziela Zwykła
- 24 VI – UROCZYSTOŚĆ NARODZENIA ŚW. JANA CHRZCICIELA
- 27 VI – piątek – adoracja Najświętszego Sakramentu od godz. 16.00. Koronkę do Miłosierdzia Bożego poprowadzi Żywy Różaniec

Adres Parafii

Parafia Narodzenia NMP, 05-806 Komorów, 3-go Maja 9

Porządek mszy świętych

Msze św. w dni powszednie o godz. 7.00 i 18.00;
w niedziele i święta o godz. 8.00, 9.30, 11.00, 12.30 i 18.00

Kancelaria Parafialna czynna:

poniedziałek, wtorek, środa, piątek w godz. 9.00 – 10.00 oraz 16.00 – 17.30;
w soboty 9.00 – 10.00



Spotkania w Panu – korespondencja własna z Australii

Hazard i... walka z samym sobą

Był niedzielny jesienny wieczór (kwiecień to zdecydowanie jesień w Australii, a w tym roku szczególnie deszczowa i szarobura), gdy zadzwonił telefon. – Nie uwierzysz, Siostrze Grace (nazywają mnie tu Grace, bo Grażyna jest ciężkie do wymówienia dla nie-Europejczyków) – powiedział znajomy mi głos Elizabeth, koleżanki poznanej kilka lat temu na studiach tu w Australii. Co się stało? – zapytałam słysząc smutek i troskę w głosie mojej rozmówczyni. Och, jestem tak zła na siebie, że aż nie chce mi się o tym mówić. Straciłam moje 200 dolarów na pokermachine w klubie. Zostało mi 70 dolarów w portfelu przed kolejną wypłatą. Jaka jestem głupia... – dodała z rozpaczą w głosie. Nie mów tak, Elu, bo to nieprawda – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Elizabeth jest wspaniałą osobą i kompletnie nie zasługuje na nazywanie siebie w ten sposób.

Rozmawialiśmy chyba z godzinę. Problem nie jest łatwy. Wielu mieszkańców Australii popada w hazard i traci na tym olbrzymie sumy pieniędzy – 200 dolarów Elizabeth jest niczym w porównaniu z tym, co zostawia przeciętny mieszkaniec tego kraju tygodniowo w „domach gry” – jak je nazywają. Każde przedmieście, większe i mniejsze miasto ma swój klub, gdzie można dobrze zjeść, napić się piwa, zagrać w bingo, posiedzieć z przyjaciółmi oglądając mecz futbolowy

na dużym ekranie, wygrać na loterii, posłuchać dobrej muzyki. I to wszystko jest OK, gdyby nie te pokermachine. Tak dla zabawy wrzucamy tylko dolara, 2, 5, 10... a potem jeszcze raz próbuje się szczęścia i jeszcze raz... A gdy wciąż nie ma pożądanego rezultatu, próbuje się ten „przedostatni raz” i gdy jest za późno – widzi się, jak wiele pieniążków zniknęło bezpowrotnie. Coś, co mnie bardzo zaskoczyło, i z czym wciąż nie mogę się zgodzić, to istnienie katolickich klubów hazardowych, gdzie te same pokermachine, a nawet kasyna (każde duże miasto ma wielkie kasyno – ale to głównie dla bogatych lub nowobogackich, nie zwykłych pracujących szaraczków) zbierają pieniądze na cele charytatywne, nie wspominając o tym, jak wielu katolików, czy nawet osób duchownych (o zgrozo!), traci tu swoje pieniądze i szacunek do samych siebie. I nikt nie nazwie tu siebie hazardzistą, bo nie dla hazardu idzie się do klubu. Jest to tak naprawdę jedyne miejsce, gdzie wszyscy mogą posiedzieć, porozmawiać, miło i kulturalnie spędzić czas. Australijczycy nie mają zwyczaju odwiedzania sąsiadów na kawę i ploteczki, jak to jest w tradycji Europejczyków. Nie będą też siedzieć w restauracji dłużej niż przewiduje zjedzenie kolacji, nie spotkają się w gronie przyjaciół na pogaduszki bez okazji imienin czy urodzin, więc... Tak naprawdę zwykły szary człowieczek, który

List zza oceanu – korespondencja własna z USA

„Chrystus Naszą Nadzieją”

Ta prosta i pełna ojcowskiej troski myśl była głównym przesłaniem Benedykta XVI, z jakim przez sześć dni pielgrzymował po Stanach Zjednoczonych, ojczyźnie siedemdziesięciu milionów katolików.

Ojciec Święty odwiedzał Stany w trudnym momencie dla tutejszego kościoła katolickiego, przeżywającego kryzys związany ze zmniejszającą się systematycznie i dramatycznie liczbą powołań zakonnych, skandalem seksualnego molestowania przez księży oraz rozdwojeniem na tle podejścia do celibatu, święceń kobiet czy antykoncepcji. Przybył w trudnym dla kraju czasie: wojen w Iraku i Afganistanie, prawie recesji lub już recesji, piętrzących się problemów gospodarczych, trudnych moralnie problemów związanych z nielegalną emigracją.

15-go kwietnia Papież wylądował entuzjastycznie witany przez prezydenta

Busha i waszyngtońskich katolików, ale równocześnie z rezerwą przez ogólną opinię publiczną i część katolików będących na rozdrożu od czasu seksualnego skandalu. Tego dnia większość Amerykanów na pytanie, kim jest Benedykt XVI, według Johna Allena, znanego chrześcijańskiego publicysty, odpowiedziałyby: „Benedykt XVI? Słyszałem, że to papież, który nosi czerwone buty od Prady i za którym nie przepadają muzulmanie”.

W pojawiających się przed wizytą reportażach raczej panowało przekonanie, iż głowa kościoła katolickiego nie poruszy kontrowersyjnych tematów. Tym większe było zaskoczenie, kiedy już na pokładzie samolotu Benedykt XVI zabrał zdecydowanie głos w sprawie seksualnego skandalu. W czasie spotkania modlitewnego z biskupami w waszyngtońskiej Bazylice Niepokalanego Poczęcia powiedział, iż pedofilia w kościele amerykańskim jest

„głębokim wstydem” i „śmiertelnym moralnym grzechem”. Z troską mówił o bólu, który odczuwają te wspólnoty, w których duchowni zdradzili swe ideały. Przyznał, że reakcja kościoła w wielu wypadkach była po prostu zła. Wezwał biskupów, by zrobili wszystko, co możliwe, aby pomóc ofiarom i rozpocząć długi proces leczenia ran. Następnego dnia wraz z kardynałem Bostonu Ojciec Święty rozpoczął ów proces zapraszając na wspólną modlitwę i spotkanie sześć ofiar. Gary Bergeron, jeden z pokrzywdzonych, powiedział dziennikarzowi, że słowa następcy Świętego Piotra były „długo oczekiwanym krokiem w dobrym kierunku”.

W rozmowie z Georgem Bushem Papież poruszył drugi kontrowersyjny temat czyli emigrację. Upomniął się o prawa traktujące sprawiedliwie nielegalnych emigrantów z Ameryki Łacińskiej, pracujących ciężko od kilkunastu lub kilkudziesięciu lat, a teraz stojących wraz z rodzinami przed problemem deportacji.

Wielu Amerykanów uważało, iż następca Jana Pawła II nie rozumie idei ekumenizmu. Ponownie Benedykt XVI zaskoczył. Na spotkaniu ekumenicznym podkreślał, iż tylko ufając Bogu, postę-



chce odpocząć po spracowanym tygodniu w otoczeniu innych takich jak on – idzie do klubu, no bo i gdzie ma iść?!

Moja rozmowa z Elizabeth z tematów hazardowych przeszła na duchowe, bo tak naprawdę, to najtrudniejsza jest walka człowieka z samym sobą (w tym wypadku – by np. skończyć zabawę na 50 dolarach, jeśli jest to suma, którą chcemy przeznaczyć na wieczór), walka z własnymi wadami, czy są większe czy mniejsze, bo każdy z nas je ma i jest w pewnym sensie hazardzistą. I Pan Bóg znacznie szybciej nam przebacza niż my sami sobie. My gniewamy się na siebie długo i głęboko. – Nie martw się Elu – powiedziałam w jednej z końcowych faz naszej rozmowy – Pan Jezus nie liczy naszych upadków, ale powstania, więc głowa do góry!

Nie wiem, czy rozmowa ze mną przyniosła jakieś rezultaty, ale na pewno otworzyła mi oczy na wcale niełatwą rzeczywistość życia w tym kraju. Może również Ciebie, drogi czytelniku Magazynu, zachęci do refleksji nad „hazardem”, z którym ty sobie nie radzisz i będzie za prośbieniem do modlitwy za innych, którzy dźwigają się z wiarą ze swoich upadków.

**s. Grażyna (Grace)
Ročławska, CSFN**



pując zgodnie z Jego nauką, będziemy mogli osiągnąć „jedność nadziei, jedność wiary i jedność miłości, które przekonają świat, że Jezus Chrystus jest tym, którego Ojciec posłał, aby zbawił każdego”.

Wielokrotnie w czasie pielgrzymki Papież spotykał się z duchownymi i nauczycielami katolickich szkół i uniwersytetów. Podkreślał, że największym wyzwaniem dzisiejszego kościoła jest okazywanie światu radości z wiary i doświadczania Bożej miłości. Jak trudne to zadanie, zobrazował porównaniem. Kiedy patrzemy na witraże kościoła z zewnątrz, to wydają się one przyćmione i ponure. Dopiero kiedy wejdziemy do środka, możemy zobaczyć całe ich piękno. Tak też jest z komunikowaniem Miłości Boga w świecie, który patrzy na kościół z zewnątrz.

20-go kwietnia Amerykanie żegnali jednego z największych myślicieli naszego czasu widzącego kościół w szerokiej historycznej perspektywie, troskliwego ojca, księdza skłaniającego do głębokich przemyśleń, skromnego Apostoła niosącego światło nadziei każdemu indywidualnemu człowiekowi.

O czym zza Atlantyku donoszę i pozdrawiam serdecznie

Joanna Hozer



Misje dla młodzieży

Więć o tym, że rekolekcje wielkopostne dla młodzieży odbędą się w szkole, poruszyła młodzież, rodziców i nauczycieli. Wiadomość o tym, że spowiedź ma się odbywać w sali gimnastycznej, też wywołała wiele komentarzy – „Przecież do tego jest kościół!”. Chyba więcej sceptyków było wśród dorosłych, przyzwyczajonych do pewnych standardów co do miejsca rekolekcji i spowiedzi. Od początku, gdy dowiedziałam się o formie rekolekcji, nie miałam wątpliwości, że taka forma i miejsce może i musi poruszyć serca młodych ludzi, którzy zmagają się z przeróżnymi problemami. Młodzież jest otwarta i oczekuje zachęcenia do poznawania celu swego życia. Przekonują nas o tym między innymi światowe spotkania młodzieży, spotkania na polach lednickich, pielgrzymki na Jasną Górę itp. Liczba młodzieży uczestniczącej w takich formach ewangelizacji rośnie, zdumiewa i cieszy.

Nie miałam wątpliwości, że rekolekcje w szkole to dobry pomysł. Więcej, uważam, że szczególnie w dzisiejszym świecie trzeba uświadamiać młodzież i uczyć ją, że obowiązki chrześcijanina to nie tylko godzina spędzona w niedzielę na mszy świętej. Wszędzie i zawsze mamy być świadkami Jego Miłości. W szkole, na hali... Pan Bóg wszędzie jest obecny. My dorośli, mając jakieś swoje stereotypy nie dopuszczamy do zmian – „przyzwyczajenie, druga natura człowieka”. Nie ukrywam, że byłam poirytowana, gdy usłyszałam od ojca rekolekcjonisty słowa, że ludzie plotkowali, źle mówili na temat formy i miejsca rekolekcji dla młodzieży. Może w nas tkwi przeświadczenie, że tylko kościół i tylko konfesjonał w kościele może być miejscem poznawania Boga. W tych refleksjach nie sposób nie podzielić się scenką, której byłam świadkiem. Otóż, obok kościoła idzie sobie grupa przedszkolaków. Siostra pokazuje im, gdzie powinny przyjść na mszę świętą. Wskazując na dolny kościół, dodaje, że pod kościołem, czy w brzoźkach Pana Boga nie ma. Byłam zdumiona tą wypowiedzią. Jednocześnie rozumiem, że siostra miała dobre intencje. Użyła modnego teraz skrótu myślowego, który prowadzi do wielu nieporozumień. Konkluzja jest taka, że dziecko koduje sobie, że Jezus jest tylko w kościele... Być może w młodości usłyszeliśmy podobne treści.

Rekolekcjonista miał pretensje do nauczycieli, że nie brali udziału w rekolekcjach razem z uczniami. Niezupełnie miał rację, ponieważ przez trzy kolejne dni uczniowie w klasach spotykali się ze swoimi wychowawcami. Były to lekcje przygotowujące do nauk rekolekcyjnych. Sama jestem wychowawczynią i towarzyszyłam moim uczniom w naukach rekolekcyjnych. Podziwiałam ich entuzjazm.

Nie rozumiem czemu niektórzy nie chcieli iść do sakramentu pokuty w hali sportowej. Sama skorzystałam z możliwości spowiedzi. Byłam zadowolona, bo bez pośpiechu, spokojnie, bez zniecierpliwienia czekających w kolejce mogłam się wypowiadać. Z taką formą sakramentu pokuty spotkałam się już wcześniej. Było to około 10 lat temu. Wtedy spowiadałam się w różnych miejscach, m.in. na spacerze wokół kościoła. Musimy pamiętać, że Pan Bóg jest wszędzie. Widzi nas i idzie za nami, jest tam, gdzie jesteśmy my.

Rekolekcje przeżyłam podwójnie, w kościele i w szkole. Dały mi wiele radości, pogody i wiary, że młodzi ludzie nie wstydzą się swoich wzruszeń i świadectw. Zrozumiałam, jak ważny dla młodego człowieka jest dom rodzinny, czyli miejsce gdzie spotykają się bliscy dla siebie ludzie. Są dla siebie wsparciem w trudnych chwilach, jak również gdy się cieszą. Ważni są również ludzie, których spotykają na swojej drodze.

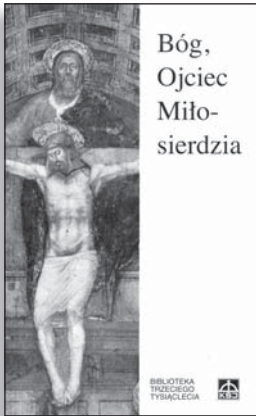
Myślę, że rekolekcje w szkole są dobrym pomysłem. Mam nadzieję, że w przyszłym roku podobna forma rekolekcji będzie cieszyła się większą popularnością i entuzjazmem.

Halina Kość
doktor nauk chemicznych



Z naszej parafialnej biblioteki

Książki, które polecam...



„Bóg, Ojciec Miłosierdzia”. Oficjalny dokument Papieskiego Komitetu Obchodów Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Katowice 1998

„W wewnętrznym życiu Trójosobowego Boga podobnie jak w życiu chrześcijan wszystko pochodzi od Ojca i wszystko do niego wraca.” – to pierwsze zdanie wstępu do niniejszej książki napisanego przez Kardynała Etchegaray. Książka pozwala nam zanurzyć się w ożywym źródle misterium

Boga, który istnieje przez miłość i dla miłości. Ukazuje Bożą miłość, która od chwili grzechu pierwszego człowieka przyjmuje postać miłosierdzia. Bóg nie może kochać inaczej, jak okazując przebaczenie. „Królewską bramą, przez którą rozlewa się na nas miłość Boga, jest Serce Jego syna, przebite na Krzyżu.”

Rozdział I zatytułowany „Imię Boga” podejmuje próbę dania odpowiedzi na trudne pytanie, kim jest człowiek? Wielu uczonych poświęciło mnóstwo czasu i sił na dociekanie prawdy o człowieku i wcale nie doszli do zgody. „Człowiek składa się z chwały i nędzy, z życia i śmierci.” Człowiek pozostaje tajemnicą dla samego siebie. Jego tajemnicę można zrozumieć jedynie w świetle jakiejś innej, przerastającej go tajemnicy. Dlatego ludzie zawsze zwracali się ku Bogu, aby znaleźć odpowiedź na pytania dotyczące ich samych. Chrześcijanom Bóg się objawił jako ich miłosierny Ojciec. Bóg objawiał siebie samego stopniowo, w miarę upływu czasu. „Ludzie stali się synami Bożymi tylko dlatego, że Bóg jest od wieków Ojcem, zaś wszelkie ludzkie ojcostwo ma sens tylko w takiej mierze, w jakiej odzwierciedla tajemnicę miłości u Początku wszystkiego w niebie i na ziemi.”

Rozdział II „Bóg Ojciec” pomaga nam zrozumieć tajemnicę Trójcy Świętej. „Bóg jest tajemnicą miłości, miłości trynitarniej. Ojciec miłuje Syna w Duchu Świętym, który jest więzią ich wzajemnej miłości... jedyną drogą, na jakiej poznajemy misterium odwiecznej Trójcy, jest dzieło naszego zbawienia spełnione przez Jezusa Chrystusa, jedynego Syna Bożego.” To główne misterium chrześcijaństwa jest źródłem i celem wszystkich innych misterii i całego życia Kościoła. Wzajemna wymiana życia, miłości i bytu między Osobami Przenajświętszej Trójcy wyjaśnia niektóre trudne teksty Nowego Testamentu.

Rozdział III „Jezus objawia Ojca” ukazuje rolę Chrystusa jako Tego, który objawia niewidzialnego Boga. „...cały człowiek – ciało i dusza – został stworzony przez Boga i jest przeznaczony za pośrednictwem Chrystusa do zmartwychwstania ciała oraz wiecznego życia z Bogiem.”

Kolejny rozdział „Bóg, Ojciec Miłosierdzia” rozwija i dokumentuje tezę zawartą w tytule książki, cytując na wstępie stwierdzenie św. Tomasza z Akwinu (z jego Sumy Teologicznej) – „Przymiotem Boga jest to, że kieruje się miłosierdziem; w tym objawia się szczególnie Jego wszechmoc.”

W Starym Testamencie wątek dobroci i miłosierdzia Boga przewija się często, w różnych wariantach. Nowy Testament przedstawia miłosierdzie Boga objawiające się szczególnie w Osobie i czynach Jezusa Chrystusa. „Wcielenie Słowa jest nie tylko dziełem miłości Boga, lecz także szczytem objawienia Bożego miłosierdzia, które przyjęło kształt ludzkiej osoby.”

Rozdział V „Dar przebaczenia” podkreśla istotną prawdę, iż śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa są niezachwianą podstawą naszej wiary.

Bez Boga nie można się spodziewać sprawiedliwości dla świata przesiąkniętego niesprawiedliwością i pozbawionego miłości. Nie ma normy sprawiedliwości poza lub ponad Bogiem. Ponieważ Bóg jest Miłością, a sprawiedliwość utożsamia się z samym Bogiem, musi ona być pojmowana w świetle Jego miłości. Jezus dobrowolnie przyszedł na świat, aby za nas umrzeć. Przez Jego krew zostaliśmy usprawiedliwieni i zachowani od karzącego gniewu Bożego.

„Zbawienie, pojednanie i pokuta” są tematem następnego rozdziału. „Bóg musiał wkroczyć w historię poprzez Wcielenie swojego Syna, aby upewnić człowieka, że miłość jest naprawdę silniejsza od grzechu.”

Zbawienie nie jest prywatną sprawą rozgrywającą się między człowiekiem a Bogiem. Wszystko, co chrześcijanin czyni, ma wpływ na innych. Cały Kościół doznaje następstw grzechów popełnianych po chrzcie i bierze udział w pokucie swoich członków. Pokuta jest działaniem Kościoła. Naprawienie skutków grzechu obowiązuje nie tylko jednostkę w jej relacji z Bogiem. Należy się także Kościołowi, który został zraniony.

Kościół intensywnie uczestniczy w procesie nawracania się wierzących, którzy zgrzeszyli, sprawuje sakrament pokuty, w którym przyczynia się do oczyszczenia i zbawienia swoich grzesznych członków. Poprzez jego posługę, wierni spotykają się z przebaczeniem i miłosierną miłością Chrystusa. Grzesznik powinien skorzystać z sakramentu pokuty możliwie jak najprędzej po popełnieniu grzechu. Grzech śmiertelny pozbawia duszę łaski, a w przypadku śmierci w takim stanie ściąga na grzesznika wieczne potępienie. Uniemożliwia też wierzącemu przyjęcie Chrystusa w Eucharystii, a tym samym pozbawia go pełnego udziału w życiu Kościoła.

W rozdziale VII „Maryja – znak miłosierdzia Trójosobowego Boga”. Najśw. Maryja Panna ukazana jest jako arcydzieło Bożego miłosierdzia, niepokalana, dzięki Bożemu miłosierdziu zachowana od wszelkiej skazy grzechu, napełniona



łaską a priori, jako wybrana na Matkę Wcielonego Słowa. Jak przystało na Matkę Miłosierdzia, Maryja umie współczuć ludzkim słabościom i nigdy nie przestaje orędownicą za nami u swego syna. Miłosierdzie Maryi jest wysławiane nie tylko w liturgii, lecz także w sztuce zarówno wschodniej jak i zachodniej.

Tematem rozdziału VIII jest „Miłość”, która jest początkiem i końcem dróg prowadzących do Boga. Miłość w swym podwójnym wymiarze: umiłowania Boga i braci jest syntezą życia moralnego człowieka wierzącego. Miłość nie tylko jest ekstazą radości, która łączy osobę miłującą z umiłowaną. Miłość jest także bolesną ofiarą, w której głębi doświadczamy wyrzeczenia samego siebie i odrzucenia. Jezus na krzyżu doświadczył nie tylko nienawiści nieprzyjaciół, ale opuszczenia i zdrady ze strony swych przyjaciół, jednakże nigdy nie stracił nadziei. Był i zawsze pozostaje Synem Ojca, Synem Jego miłości, i nie może o tej miłości nie dawać świadectwa. Ciało zmartwychwstałego Jezusa zostało uwielbione i odtąd istnieje w Kościele, który jest wielkim darem Boga dla ludzi, objawia Bożą inicjatywę podjętą dla naszego dobra. Boża miłość jest siłą zapewnia-

jącą życie i działanie struktury Kościoła. Wiara jest próżna i nadzieja daremna, jeśli człowiek wierzący nie doświadcza miłości w Chrystusowym Kościele.

Rozdział IX poświęcony jest rozważaniu treści kolejnych wezwań modlitwy „Ojciec nasz”. Jest to dla wszystkich chrześcijan modlitwa święta, pochodzi z ust samego Jezusa, który pragnął w niej ukazać oryginalność chrześcijańskiej wiary. Zawiera się w niej zasadnicza treść naszej wiary i całe nauczanie Kościoła. Wypowiadając codziennie tę modlitwę, streszczamy w niej całą Ewangelię. W modlitwie tej każdy wierzący wzywa miłosierdzia Ojca ze świadomością, że takie właśnie jest prawdziwe i autentyczne oblicze Boga, które objawił Jezus. Dzięki tej modlitwie każdy coraz głębiej odkrywa, kim jest i do czego został powołany. Serdecznie zachęcam do lektury tej pogłębiającej naszą wiarę i porządkującej wiedzę książki, łącząc się z życzeniem wyrażonym przez autora wstępu – „Niech ta książka rozbudzi w nas radość, która stanie się lekarstwem i natchnieniem, abyśmy odważyli się uwierzyć w miłość Ojca.”

Teresa Poręba



Niepokoje...

Ty, który wchodzisz, zegnaj się z nadzieją

Nigdy nie mogło mi się pomieścić w głowie, jak można, będąc chrześcijaninem, nie wierzyć w szatana. A tu okazuje się, że owszem, można. Co więcej, ostatnimi czasy stało się to nawet bardzo modne. Musi przecież istnieć jakaś przeciwwaga dla tych młodych niby-satanistów zapatrzonych w Marilynę Mansona, żeby zachowana została równowaga sił we wszechświecie.

Toteż modelowy przedstawiciel tego nowego światopoglądu przychodzi do kościoła się zrelaksować, pogłębiać sobie wnętrze, posłuchać muzyki organowej, ale nie żeby go ksiądz straszył jakimś diabeł! (To zresztą zauważył już jeden z bohaterów „Ziemi Obiecanej” Wajdy.) Nic więc dziwnego, że od członków subkultury wierzący-nie-praktykujący-lub-praktykujący-kilka-razy-do-roku-zależnie-od-warunków-atmosferycznych – zdarza się usłyszeć pytanie: „To jeszcze się praktykuje egzorcyzmy? Przecież to jakiś średniowieczny zabobon!”. Ale to jeszcze pół biedy. Okazuje się, że w Niemczech egzorcyzmów faktycznie się nie praktykuje od czasu słynnej sprawy Anneliese Michael, kiedy to młoda dziewczyna zmarła rzekomo na skutek egzorcyzmów (choć

w rzeczywistości przyczyną było zażywanie leków psychotropowych).¹ Sprawa znalazła się w sądzie, gdzie rodziców dziewczyny oskarżano o... no właśnie, między innymi – wiarę w szatana! Ostatecznie biskup wyraził o całej sprawie opinię: „szatan nie istnieje, a opętanie jest chorobą”. To ja przepraszam, ale proszę mi nie wmawiać, że diabeł to taki czerwony pan

William Blake *Dante i Wergiliusz przed bramą piekła*



z ogonem, którym się straszy dzieci na dobranoc. Za taką teologię to ja dziękuję. I co ma począć taki zwykły śmiertelnik, kiedy już nawet władze kościelne wciskają mu do głowy teorie wewnętrznie sprzeczne? Ale wychodzi na to, że w Polsce nie mamy jeszcze tak źle, przynajmniej jeśli chodzi o Kościół.

W każdym razie, okazuje się, że Dante wcale nie miał racji, pisząc na bramie piekła: *Ty, który wchodzisz, zegnaj się z nadzieją*. Mnie tam się wydaje, że w beznadziejnej sytuacji są raczej ci, którzy sprawy piekła i diabła starają się omijać szerokim łukiem. Bo przecież zwycięstwem szatana jest właśnie to, że człowiek przestał w niego wierzyć.

Zakończę ten wywód dość trywialnie, bo parafrazując Mamusię Muminka – nie mam już siły zastanawiać się nad tym, co to wszystko ma znaczyć. Ale wygląda na to, że wszystko idzie źle.

Joanna Walkowiak
ucz. kl. II LO



¹ Więcej na ten temat można przeczytać w książce Felicitas D. Goodman *Egzorcyzmy Anneliese Michael*.



Dekalog na trzecie tysiąclecie

Módlmy się



3. Pamiętaj, abys dzień święty święcił!

„Pamiętaj o dniu szabat, aby go uświęcić. Sześć dni będziesz się trudził i wykonywał wszystkie swoje zajęcia. Dzień zaś siódmy jest szabatem Pana, Boga twego. Nie będziesz przeto w dniu tym wykonywał żadnej pracy ani ty sam, ani syn twój, ani twoja córka, ani twój niewolnik, ani twoja niewolnica, ani twoje bydło, ani przybysz, który przebywa w twoich bramach” (Wj 20, 8-11). Ponieważ Jezus zmartwychwstał dzień po szabacie, chrześcijanie stopniowo przenieśli dzień świąteczny z soboty na dzień, który nazwano niedzielą (domenica – Dzień Pański).

Pierwszym tekstem legislacyjnym dotyczącym obowiązku uczestniczenia we mszy świętej był kanon 21 synodu w Elwirze (305–306). Informował on o wykluczeniu na pewien krótki czas mieszkańca miasta, który opuścił trzy msze święte. Katechizm wydany po Soborze Trydenckim (1545–1563) mówił o obowiązku udziału we mszy świętej w czwartym przykazaniu kościelnym. Charakter prawny uzyskało to zobowiązanie dopiero w Kodeksie Prawa Kanonicznego z 1917 roku. W obowiązującym Kodeksie Prawa Kanonicznego z 1983 roku ten problem przedstawiony jest jasno i konkretnie: „W niedzielę oraz w inne dni świąteczne nakazane wierni są zobowiązani uczestniczyć we mszy świętej oraz powstrzymać się od wykonywania tych prac i zajęć, które utrudniają oddawanie Bogu czci, przeżywanie radości właściwej dniowi Pańskiemu oraz korzystanie z należącego odpoczynku duchowego i fizycznego” (kan. 1247). Dlatego też w świetle wyżej przytoczonego kanonu każdy chrześcijanin powinien wiedzieć, do czego jest zobowiązany nie tylko duchowo, ale i prawnie.

Warto wsłuchać się w brzmienie kanonu, aby wyzbyć się niepotrzebnych i błędnych interpretacji. Przecież wiele prac wykonywanych w niedzielę jest niekoniecznych, a pozostają one tylko usprawiedliwieniem niewierności Bogu. Kontrowersję wzbudza zakazanie handlu w niedzielę i święta. **Pomyśl, że przez twoje niezorganizowane życie, chęć rozrywki i niekonieczne zakupy, ktoś nie ma odpoczynku i niedzieli nie spędzi z rodziną i z Bogiem.**

Eucharystia niedzielna jest utwierdzeniem całej działalności chrześcijańskiej. Dlatego też podejście do realizacji tego zadania powinno być jak najbardziej dojrzałe i przemyślane. Każda decyzja w tym wypadku wymaga pełnej świadomości. *Z tego obowiązku zwalniają jedynie ważne przeszkody: choroba, opieka nad małym dzieckiem, opieka nad osobą starszą.*

Jak przypomina Katechizm Kościoła Katolickiego, jeżeli ktoś dobrowolnie zaniedbuje ten obowiązek, popełnia grzech ciężki (KKK 2181).

Ponieważ msza święta jest dla wiernych obowiązkiem, duszpasterze są zobowiązani zapewnić wszystkim możliwość realizacji tego przykazania (Jan Paweł II „Dies Domini” 49). Pomocą są w tym wypadku również przepisy prawa kościelnego, np. pozwalające kapłanowi, za zgodą biskupa diecezjalnego, na odprawienie więcej niż jednej mszy świętej w niedzielę i dni świąteczne (kan. 905). **W przypadku wyjątkowej niedyspozycji do uczestniczenia w liturgii Dnia Pańskiego przepisy kościelne dopuszczają zastąpienie tej praktyki Eucharystią wieczorną dnia poprzedzającego (kan. 1248).**

Uczestnictwo w świętowaniu dnia Pańskiego, to również dawanie świadectwa swojej wiary i przynależności do Kościoła. Poprzez komunie z Chrystusem i całą wspólnotą chrześcijanin potwierdza swoją wierność Bogu, świadcząc o Jego świętości i nadziei zbawienia. **Jakie dajesz świadectwo swojej przynależności do Kościoła, jeśli w niedzielę zapominasz o Bogu i wspólnocie, która modli się również za Ciebie?!**

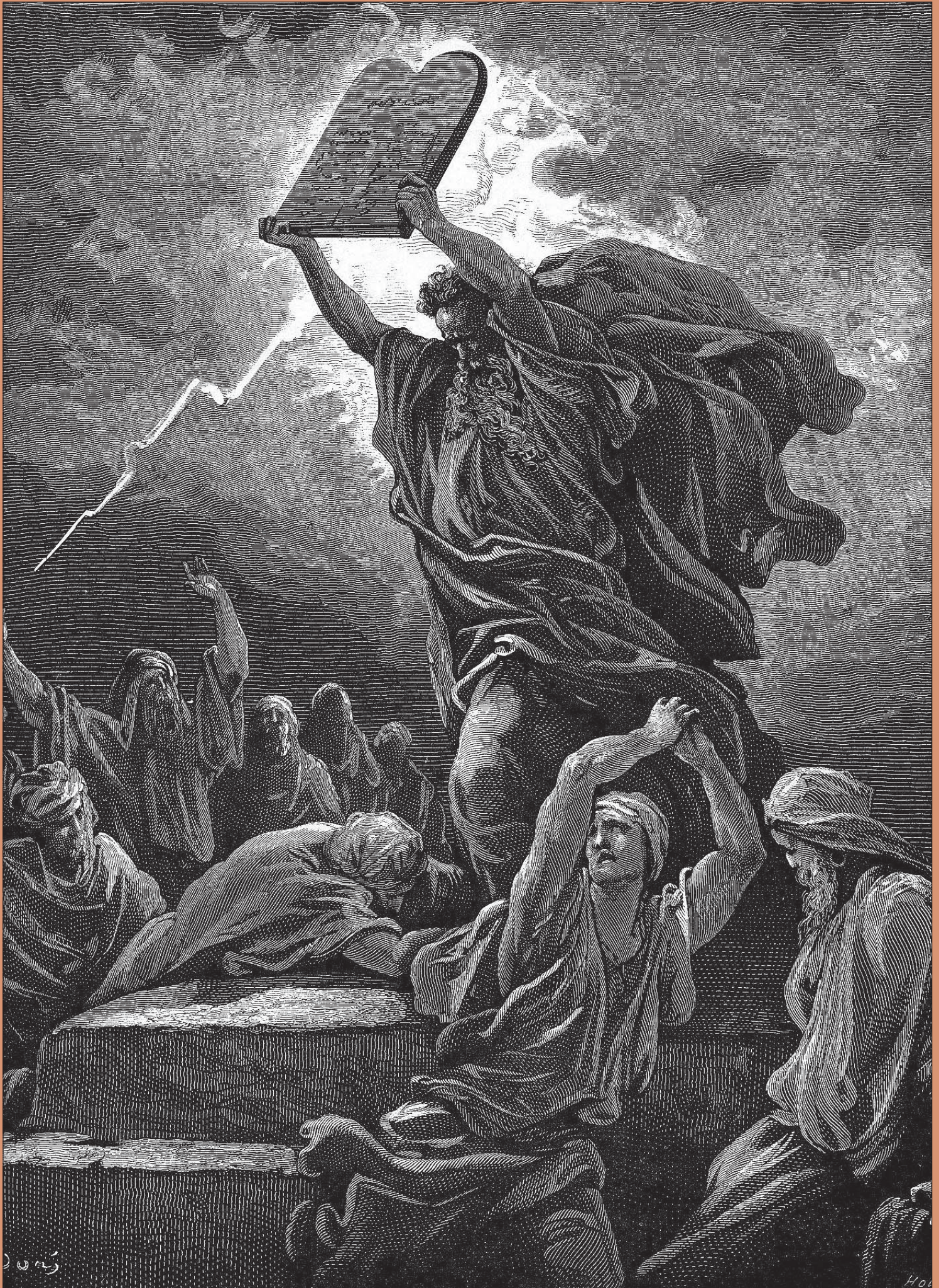
Konieczne jest uświadomienie sobie, że w życiu chrześcijanina niedzielne zgromadzenie ma kluczowe znaczenie. W ten sposób wspólnota wiernych świętuje Paschę Chrystusa w sakramencie Nowego Przymierza. W dzisiejszych czasach utrudnieniem w realizacji tego zadania jest niewątpliwie sytuacja gospodarcza i polityczna. Niejednokrotnie człowiek napotyka na swojej drodze obojętność na Ewangelię. Sprawy materialne oraz obowiązek pracy często przyczyniają się do zapomnienia o tym, co Bogu powinno być przeznaczone. Hierarchia wartości ustalana jest nierzadko w kategoriach czysto ludzkich. Dlatego – aby nie ulec naciskowi ze strony środowiska – należy znajdować oparcie w chrześcijańskiej wspólnocie.

Na uwagę zasługuje fakt, iż przykazania, bądź przepisy prawne, nie ograniczają w żaden sposób wolności chrześcijanina. Wręcz przeciwnie, konsekwencją zobowiązania jest promocja wolności ludzkiej. Człowiek nie może egzystować bez zajęcia odpowiedniego stanowiska wobec świata, a tym bardziej wobec Boga.

Najlepszym przesłaniem są słowa Jana Pawła II z encykliki: „Kościół żyje dzięki Eucharystii”! Jeżeli jesteś członkiem Kościoła, to pomyśl czy przedłużasz życie Kościoła?

ks. Łukasz Gołębiowski





Pierwsza Komunia



a Święta A.D.' 2008



Grupa II – 10 maja 2008



Piękne zakątki Komorowa
Willa rodziny Doruchowskich
Jeden z licznych dworków osiedla „Strzecha Polska”

Niegdyś okazała willa o nazwie „Lola” – dziś zaniedbany, szary dom przy ul. Klonowej 2 (róg Brzozowej). Do II wojny światowej należała do małżonków Karoliny i Stanisława Doruchowskich. Ich syn był adiutantem generała Stefana Grota-Roweckiego

Zdzisław Zawadzki

fol. B. Duczmal, 2008



Na tle nieszczęść, które w 1939 roku spadły na Polskę, okupacyjny Komorów sprawiał wrażenie oazy spokoju, tymczasem w ukryciu toczyła się walka o zachowanie godności narodowej i wyzwolenie Polski... – mówi Zdzisław Zawadzki, z wykształcenia inżynier budowlany, z zamiłowania historyk.

Obserwator (cz. 4)

Lata okupacji

Nie wiem czy wszyscy pamiętają, bo pisałam o tym na początku tego „maratonu” [MP nr 8(78) z dnia 24 XII 2007 r.], iż składam Państwu relację z rozmów odbytych prawie 3 lata temu. Poszczególne odcinki piszę „z numeru na numer”, dlatego za każdym razem muszę od początku przesłuchać cały zapis. Całych 9 godzin. Proces przygotowawczy pochłania więc nie tylko dużo czasu, ale wiąże się z lękiem, że nim dobrnę do końca, taśma ulegnie uszkodzeniu. Ale przyjęcie takiej techniki ma też dobre strony. Gdy wielokrotnie słucham owych arcyciekawych opowieści, za każdym razem „znajduję w nich coś nowego”, co wcześniej umknęło mojej uwadze. Przychodzą mi też do głowy różne refleksje, którymi się z Państwem dzielę. Tym razem nie mogłam wyzwoić się od trochę naiwnych, niemal dziecinnych pytań: Czy Bóg, wysyłając nas na ziemię kieruje człowieka w konkretne, z góry upatrzone miejsce? Dlaczego umieszcza nas w tym, a nie innym CZASIE?

Wrzesień 1939, wybuch wojny, zastał Państwa tu, bo rok zawsze dzieliliście pół na pół. Pół roku w Komorowie i pół w Warszawie. Wrzesień zawsze należał do Komorowa. Ten rok był wyjątkowo trudny. W czerwcu sprzedaliście Biały Dworek, byliście pochłonięci budową nowej rezydencji, domu przy ul. Kolejowej 17...

O, jaka tam rezydencja? Na takie określenie może zasługiwał Biały Dworek, ale nie ten nowy, mały klocek, zaprojektowany w stylu Art Déco. [Kierunek w sztuce dekoracyjnej i architekturze. Powstały w latach 20. XX w., ale dominował w 30. Powrócił do nas kolejny raz na przełomie lat 1960/1970. Jego celem było przystosowanie projektowania do warunków produkcji masowej. Sięgał po asymetrię, kształty geometryczne oraz śmiałą kolorystykę. – przypis LKP]

W poprzedniej rozmowie mówił Pan – podkreślając z naciskiem – że na wieść o wojnie uciekaliście w popłochu... O ile dobrze pamiętam – wojna wybuchła w piątek rano, a Komorów opuściliście dopiero w czwartek – 7 września. Trwający cały tydzień popłoch to raczej żółwie tempo – nie sądzi Pan?

Ponieważ częścią mego zaufania jest wiara, iż u Boga coś takiego jak przypadek nie istnieje i że za każdy otrzymany dar powinnam dziękować, zatem w przypadku darowania konkretnego miejsca, moje dziękczynienie przekłada się na umiłowanie „owego ziemskiego przytuliska”. Czy dlatego tak bardzo kocham Polskę? Czy dlatego nigdy nawet przez moment nie marzyło mi się przeniesienie do innego kraju? Czy dlatego w czasie wędrówek po świecie porównania z obcyzną kończyły się z korzyścią mojego KRAJU?

A jednak wiele razy zastanawiałam się, czy wystarczająco gorące jest moje uczucie? Jak zachowałabym się na ten przykład w czasie najwyższej próby? Co bym zrobiła, gdyby wolność mojej ziemi wiązała się z ofiarą krwi? Czy w czasie wojny byłabym „dekownikiem”, bohaterem, czy zdrajcą?

Takie pytania stawiałam sobie słuchając kolejny raz zapisu mojej rozmowy z baczny **OBSERWATOREM** historii Komorowa. Czy były po temu powody – oszczędź Państwo sami.

Komorów, wiosna 1940 rok, ojciec bohatera wywiadu – Czesław Zawadzki na tle nowego domu przy ul. Kolejowej



A jednak zdenerwowanie było ogromne. Raz, z powodu wybuchu wojny... Dwa, właśnie w związku z trwającą od lipca budową nowego domu. Ojciec zaplanował, że do zimy osiągnie stan surowy zamknięty. Tymczasem najętych do pracy majstrów wzięto do wojska, a nad naszymi głowami po niebie zaczęły latać wrogie bombowce. Z trudem do dokończenia pracy najęliśmy nowych robotników, ale i tak wszystkiego nie udało się zrobić. W czwartek, 7 września Tata postanowił pojechać do Warszawy, by zasięgnąć języka, co ze szkołą i tak ogólnie, ale błyskawicznie wrócił, bo na stacji EKD dowiedział się, że Niemcy są już w Piotrkowie Trybunalskim. Wtedy, rodzice z minuty na minutę zdecydowali, że dłużej nie mogą „marudzić” z wyjazdem. Przestali „walczyć” z budową nie zważając, że dom jeszcze nie miał schodów, okien ani drzwi, postanowili chronić życie. Od tygodnia byliśmy zdrowo przestraszeni. Teraz lęk się spotęgował. Nikt nie sądził, że Niemcy tak szybko wtargną w głąb Polski. Ja z Tatą pojechałem przodem do Warszawy. Mama z siostrą „doszłusowały” po południu. Musiały pozamykać wynajęte od dr.

Stanisława (chyba?) Komockiego mieszkanie w domu *Pod wieżyczką*.

Á propos siostry, czy ona jeszcze studiowała?

Nie. W lutym 1939 roku obroniła się i zatrudniła jako lekarz – stażysta w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Natomiast, dla ciekawości dodam, że dr Komocki miał przy ulicy Skorupki w Warszawie zakład analiz medycznych. Państwo doktorostwo – podobnie jak my – w Komorowie tylko przemieszkiwali i należeli do nielicznych osób spoza nauczycielskiej branży mieszkających w osiedlu *Strzecha Polska*.

No, więc prosto z wakacyjnej komorowskiej zieleni wylądowaliście w oblężonej Warszawie. Czy zdarzyło się coś, co szczególnie utkwiło Panu w pamięci?

O tak, utkwił mi właśnie ten pierwszy wrześniowy dzień spędzony w Warszawie. Jeszcze nie zdążyliśmy się na dobre zadomowić, ba, nawet rozpakować, gdy zaczęły się straszliwe naloty niemieckich bombowców. Pobiegliśmy więc do pobliskiego *Ogrodu Pomologicznego* (na rogu Emilii Plater i Nowogrodzkiej), by się skryć w wykopanych w końcu sierpnia przez cywilną ludność rowach przeciwnicznych. Wybór miejsca schronienia był w najwyższym stopniu nieroztropny. Szczególnie groźna była następna druga noc.

Dlaczego był nieroztropny? Spadały bomby, gdzie należało się skryć.

Rok 1939 – polska artyleria ciężka w okopach. Sytuacja podobna do tej w „Ogrodzie Pomologicznym”. Zdjęcie pochodzi z kolekcji IP i MS



Tak, ale nie pod boki ciężkich dział, bo wojsko właśnie z tych rowów strzelało do wroga. Niemcy szybko się zorientowali, *co i jak* i przypuścili zaciekle szturm artyleryjski w nocy z 8 na 9 września. Wtedy wróciliśmy do naszego domu przy rogu Alej Jerozolimskich i ul. Emilii Plater. Dom miał piwnice, oficyny i zamknięte podwórze. Był trzy, a w jednej części cztero-piętrowy. O dziwo, przetrwał wojnę! Co graniczyło z cudem, nikt z tej kamienicy we wrześniu nie zginął, choć w czasie trwającego cały dzień nalotu (dnia 25) – nalot ten zadecydował o naszej kapitulacji – trzy bomby spadły na dom obok przy E. Plater 33. Sto osób tam zginęło. Nasz dom został zburzony dopiero na początku lat 70 ubiegłego wieku, gdy budowano hotel Marriott. Gdzieś mam jego powojenną fotografię.

Bardzo proszę o zdjęcie. Gdzie Państwo mieszkaliście, od frontu czy w oficynie?

Na I piętrze od frontu, w części przylegającej do Emilii Plater. Udało mi się z okien naszego mieszkania zobaczyć przejeżdżającego Alejami Jerozolimskimi Hitlera. Pewnie jestem jednym z niewielu żyjących Polaków, który go widział na własne oczy. Mieszkaliśmy tam, aż do Powstania Warszawskiego, do czasu zajęcia domu przez Niemców.

Czy w czasie okupacji jeździliście do Komorowa?

O tak, bardzo często. Pierwszy raz byliśmy zaraz po kapitulacji War-

szawy, po 1 października. [Umowę o kapitulacji podpisał gen. Tadeusz Kutrzeba i gen. Johannes Blaskowitz dnia 28 IX, o godzinie 13.15, w siedzibie fabryki Škody na Rakowcu. Na jej mocy do niewoli niemieckiej poszło ok. 140 tys. polskich żołnierzy broniących Warszawy. Wojskowi bez szarż zostali zwolnieni do domów. – *przypis LKP*]. Ale nie pojechaliśmy, tylko poszliśmy, bo kolejka jeszcze nie jeździła. O tym, że Warszawa skapitulowała, dowiedzieliśmy się „pocztą pantoflową”, bo radio zamilkło, chyba około 20 września. Wcześniej codziennie z uwagą słuchaliśmy przemówień prezydenta stolicy Stefana Starzyńskiego, który podniecał naszego ducha walki. Umowę kapitulacyjną przeczytaliśmy z afiszy, którymi oblepione było całe miasto. Stolica przedstawiała smutny obraz. Zniszczono 10% budynków i Zamek Królewski. Zginęło 10 tysięcy cywilów i ponad 2 tysiące żołnierzy. [W 1939 roku Warszawa liczyła ponad 1 200 000, w 1946 około 480 000 – *przypis LKP*].

Ogromne straty, a przecież to była dopiero przegrana... Poszliście pieszo. Dlaczego? Po co?

Dlatego, że kolejka nie jeździła. Jej ponowne uruchomienie trwało długo, chyba miesiąc. W owym czasie Ekadka dojeżdżała przez Nowogrodzką, aż do Marszałkowskiej. Właśnie tam, między Emilii Plater a Chałubińskiego spadło wiele bomb. Uszkodziły one torowiska. Było wiele lejów bo jak powiedziałem, w *Ogrodzie Pomologicznym* stała polska artyleria i Niemcy w nią mierzyli. Do Komorowa wybraliśmy się po jedzenie i aby zabezpieczyć dom przed zimą. Zabić deskami okna i drzwi. Zatrzymaliśmy się w wynajętym mieszkaniu, ale o nocowaniu nie było mowy, bo zastaliśmy je dokumentnie splądrowane.

Splądrowane? Przez kogo? Przecież przez Komorów wojsko się nie przetoczyło?

Przetoczyli się plądrownicy, wojenne hieny. Wojna zawsze, pod każdą szerokością geograficzną i o każdym czasie, rodzi nikczemników i herosów. We wrześniu podobno „całymi zagonami” zapuszczali się tu mieszkańcy przedmieścia Pruszkowa. Dlatego rozstaliśmy się z marzeniem, że do Warszawy cokolwiek stąd przywieziemy. Głód na trwałe zajął nam



w oczy, bo w Warszawie nie mieliśmy żadnych zapasów, wszystko zostawiliśmy tu w Komorowie. Niestety, nieproszeni goście wyczyścili spiżarkę i piwnicę. Później się przystosowaliśmy i było lepiej. Wiosną 1940 roku obsadziliśmy cały ogród ziemniakami. Z tego okresu zapamiętałem straszny obraz. Z Kolejowej zniknęły wszystkie piękne, stare drzewa. Ludzie wycięli wszystko, co się paliło, co mogło ogrzać, bo zima tego roku była potworna, długa, śnieżna i bardzo mroźna, jak się mówi: *tęga*. Warszawiakom dokuczał nie tylko mróz, ale przede wszystkim brak szyb w oknach. Owey zimy nie zapamiętałem jednego dnia, by w naszym mieszkaniu była plusowa temperatura. Na samo wspomnienie jeszcze dziś robi mi się potwornie zimno. Co jeszcze zapamiętałem? Że wszyscy byli w stanie głębokiego szoku. Ziemia usunęła się znowu Polakom spod nóg. Znowu byliśmy w niewoli. Pod niemieckim butem. Co znaczy stracić wolność, na szczęście współczesnemu młodemu pokoleniu trudno sobie wyobrazić. Nie będę się bawił w opowiadanie szczegółów, bo starzy znają je z autopsji, młodzi z lekcji historii lub literatury, ale nas warszawiaków ogarnęła apatia, depresja, lęk, brak nadziei... Na szczęście za moment się otrząsnęliśmy... Zrodził się bunt, mimo narastającej fali terrorku, a za nim chęć walki, stawienia czoła przeciwnościom i nadzieja na wiosenną ofensywę aliantów. Nic takiego się nie stało... co nas znów przybiło.

Co znaczy określenie „za moment”?

Na przełomie lat 1940/41 Polacy zaczęli się otrząsać. Ruszyła konspiracja, szkolenie podziemnej armii, tworzenie struktur podziemnego państwa. Niebawem utworzone struktury chodziły jak mechanizm w dobrze naoliwionym szwajcarskim zegarku. Nikt przed nami, ani nikt po nas, nigdy czegoś podobnego nie stworzył. Z siły i organizacji podziemnego państwa, z jego morale, podobnie jak z 20-lecia międzywojennego, naprawdę możemy być dumni.

Pan też konspirował?

Byłem młody, miałem 14 lat. Szkolenia wojskowe przechodziła moja siostra, o czym zresztą dowiedziałem się dużo, dużo później. Natomiast w marcu 1941 wstąpiłem do



Komorowski las, lato 1941 rok. Od lewej – Zdzisław Zawadzki ze swoim kolegą z „Szarych Szeregów” – Zdziśkiem Gromskim. Jego rodzice – warszawiacy – przez całą okupację uprawiali działkę w Komorowie. Z. Gromski został bardzo poważnie ranny w Powstaniu Warszawskim. Uratowano go w naszym komorowskim szpitaliku przy ul. Krótkiej



Komorów, lato 1943 rok. Na tle domu, na piętrze częściowo wykończonym, i ogródka pełnego warzyw – w środku Zdzisław Zawadzki, pierwsza od lewej jego siostra Alina i ich matka Joanna

Szarych Szeregów. [W czasie II wojny kryptonim konspiracyjny Związku Harcerstwa Polskiego. Powołało je w Warszawie, 27 IX 1939 r., grono członków Naczelnej Rady Harcerskiej. Współpracowały z Delegaturą Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Kraj oraz Komendą Główną Armii Krajowej. Ich przewodniczącym do sierpnia 1942 był ks. hm. RP Jan Mauersberger, a po jego śmierci dr Tadeusz Kupczyński.– *przypis LKP*] *Szare Szeregi* odpowiadały za *Akcję Wawer*, czyli za mały sabotaż i wywiad. W ramach owej służby harcerskiej zostałem przydzielony do wywiadu, a że

mogłem wybrać pole operacyjne, zająłem się obserwacją Komorowa. Jak się okazało już po wojnie, nie byłem jedynym jego obserwatorem.

Słyszę nutę smutku w Pana głosie. Nie ma się co użalać – to zasada nr 1 każdego dobrego wywiadu: wiadomości i każdego zwiadowcę sprawdzać dziesięć razy.

No tak. To prawda. Dlatego to, co mówię dziś o Komorowie, to informacje pochodzące z kilku źródeł i wsparte moimi „badaniami” historycznymi.

Właśnie chciałam o tym porozmawiać, bo zauważyłam, że ma Pan nie tylko niezwykłą pamięć, nie tylko



Wnętrze willi „Lola” (stan obecny) przy ul. Klonowej 2, niegdyś należącej do ziemianina Stanisława Doruchowskiego

oszczędny język, ale także rozległą wiedzę historyczną. Jak Pan mówi to się czuje, że słyszymy to, a nawet cząstkę tego, co Pan na pewno wie.

Historia od dziecka była i jest moją pasją, ale zapuszczam się nie dalej niż 250 lat w głąb. Uważam, że jest to tyle, ile mi potrzeba, bym zrozumiał uwarunkowania współczesnej polityki i jej ograniczenia. Bym zrozumiał nasze zachowania. Moje dociekania historyczne pozwoliły mi na uporządkowanie zdobytych przeze mnie w czasie wojny danych operacyjnych, także tych dotyczących Komorowa. Na przykład dopiero po wojnie połączyłem fakt 27 dołów od bomb przy obecnej ul. Jana Pawła II z jednym konkretnym samolotem. Doszedłem do tego, gdy zacząłem szczegółowo studiować technikę wojenną III Rzeszy: stan uzbrojenia i taktykę walki. Mam sporo spostrzeżeń, ale niestety wykraczają one poza ramy tej rozmowy.

Skoro dostałam się do tak czyścigo źródła informacji, skoro mogę dostać wiedzę „na bank” pewną i „z pierwszej ręki”, niech mi Pan opisz wojenny Komorów.

W porównaniu do Warszawy, wojenny Komorów sprawiał wrażenie oazy spokoju, ale to był zwodniczy pozór. Tu w Komorowie również „toczyła się walka” o Polskę. A co widziało się tzw. „gołym okiem”? Przede wszystkim „domy pękały w szwach”. Tak było od pierwszego do ostatniego dnia wojny. Komorów najpierw przyjmował uciekinierów

i wysiedleńców z Poznańskiego, Bydgoskiego, z zachodu Polski. Uciekali przed armią niemiecką lub okupant wyrzucał ich z domów i ziemi. W 1944 roku przyszło Powstanie. W tym czasie Komorów zasłużył się jak mało która miejscowość...

Powstanie Warszawskie zostawmy na inną rozmowę. Zatrzymajmy się na latach okupacji. W ogrodzie rosły kartofle, a młody chłopak, harcerz Szarych Szeregów na rzecz AK obserwował Komorów. Co konkretnie było w jego polu zainteresowania?

Jeśli idzie o kartofle, na jesieni zbiory były mizerne, bo wsadziliśmy je do jałowej ziemi. Następnego roku dostała nawozu, no i posialiśmy wszystkiego po trochu... Z każdym rokiem zbiory były lepsze. Za naszym pośrednictwem, nasi warszawscy znajomi wydzierżawili działki niezabudowane i też je uprawiali. W związku z tą działalnością rolniczą mam smutne wspomnienie. Jakiś czas temu zabił się właściciel warsztatu samochodowego Mirosław Gwiazda. Jego działkę przez całą okupację uprawiali znajomi. Niewiele zbierali, bo nie mogli zwalczyć perzu, wreszcie w 1944 roku ziemia obrodziła jak nigdy, plony były przeobfite, ale oni nic nie zebrali, bo wybuchło Powstanie...

Takie życie...

Podobnie jak w Komorowie było w Warszawie. Każdy skrawek ziemi, jeśli to nie przeszkadzało w funkcjonowaniu miasta, uprawiano, bo głód był wielki.

Zostawmy ogrodnictwo...

Zostawmy, ale nie wiem, dlaczego ta rozmowa przywołuje mi na pamięć, tak różne nieistotne dla innych fakty i drobiazgi? Oczywiście starałem się możliwie najwięcej szczegółów zaobserwować i składać je w całość. Gdy składałem sprawozdania, czułem, że robię coś ważnego, wszak jestem *homo sapiens* płci męskiej. Mężczyzna nawet tak młody, 14-letni, z natury jest wojownikiem. Żyłem w czasie wojny, więc bardzo serio wojowałem, ale byłem też żadnym uciech chłopcem. I pamiętam, że gdy doprowadziliśmy dom do takiego stanu, że mogliśmy w nim mieszkać – znowu rok zaczęliśmy dzielić na pół. W czasie okupacji my chłopcy – nie wiem, dlaczego – zrezygnowaliśmy z kąpieli w Utracie na rzecz glinianki – tej między Pruszkowem a Komorowem. W piłkę graliśmy nie „na serku” nad torami po stronie Kolejowej, ale przenieśliśmy się w głąb lasu po drugiej stronie torów, tuż przed obecną ul. Kotońskiego. Dorośli dla bezpieczeństwa nas dzieci i porządku w Komorowie wrócili do tradycji trzymania *Straży Obywatelskiej*. Był harmonogram dyżurów, chodzono po ulicach, niestety tylko do *godziny policyjnej*, która była zmienna. Po tym czasie lepiej było „nie zderzyć się” z patrolem niemieckim.

Czyli mundur niemiecki widzieliście w Komorowie?

O tak, całą okupację oglądaliśmy wcale niemało niemieckich żołnierzy. W sąsiednim Pruszkowie, tuż przy granicy z nami, w szkole przy ul. Lipowej...

Tej przed wiaduktem? To chyba szkoła nr 6?

Tak, stała kompania piechoty. Liczyła ona około 120 żołnierzy. To była jednostka szkoleniowa. Ja ją obserwowałem i rozpracowywałem. Oni w zwartym szeregu, z pieśnią na ustach, przychodzili do Komorowa, mniej więcej, tam gdzie jest obecnie stacja ujęcia wody, bliżej nowego cmentarza...

Przepraszam, że przerywam. Czy ja się nie przestyszałam? Czy powiedział Pan: „...bliżej nowego cmentarza”...

Tak, bo w Komorowie był jeszcze stary cmentarz, na wzgórkach, przy obecnej szkole...

Do tematu „cmentarz” wrócimy, teraz skupmy się na niemieckich „zuchach”...

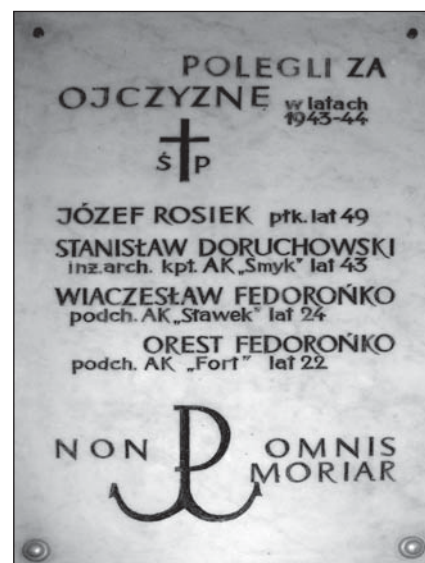


No, więc oni kilka razy w tygodniu maszerowali ulicą Kolejową. Szli na ćwiczenia strzeleckie, które mieli w tych dołach po wybieranym piasku w okolicach obecnej stacji ujęcia wody i nowego cmentarza. Broń mieli marną, przestarzałą, co utwierdzało mnie w przekonaniu, że to ich pierwszy etap „wojennej przygody”. Pewnie po krótkim szkoleniu przrzucano ich na front. Ta kompania chodziła przez cały rok 1941, 1942, 1943 i przypuszczam, że w 1944 roku też... choć straciłem ich z pola widzenia. W Komorowie bywałem bardzo rzadko. Wróciłem na dłużej po Powstaniu...

A więc ta obiegowa opinia, że Komorów nie zaznał smaku wojny, że był oazą spokoju, mija się z prawdą...

Całkowicie. Należy ją odłożyć „do lamusa”... Wojna była w całej Polsce. Szczególnie dotknęła stolicę, a Komorów z Warszawą zawsze był silnie związany, niemal „zrośnięty”. Tam się pracowało, studiowało, chodziło do szkoły, do teatru. Tam wreszcie mieliśmy znajomych i krewnych. Jej sprawy były – bardziej niż dla innego miejsca kraju – naszymi sprawami. Oto jaskrawa ilustracja tej tezy. Zaraz przy wlocie ul. Klonowej (róg Brzozowej) jest willa „Lola” nazwana tak od zdrobnienia imienia żony właściciela domu – ziemianina – Stanisława Doruchowskiego. To byli już starsi ludzie, którzy zamieszkali w Komorowie w roku 1930. Pani Karolina Doruchowska za młodu była znaną i podziwianą śpie-

waczką Opery Wiedeńskiej. Państwo Doruchowscy mieli syna, w owym czasie 28-letniego młodzieńca. Junior też miał na imię Stanisław. Kiedy go poznałem, starszy pan już nie żył, a Stanisław Doruchowski – wiedziałem, że jest architektem i oficerem rezerwy. Później okazało się, że był wielką postacią Polski Podziemnej. Jego nazwisko widnieje na prawej tablicy w naszej wotywniej kaplicy – *Stanisław Doruchowski pseudonim „Smyk” lat 43...* On, jako architekt, przystosowywał dla potrzeb Komendy Głównej mieszkanie przy ul. Twardej 36. Miało ono wiele skrytek, tajemnych wejść i wyjść na różne strony, na różne ulice. Nigdy nie zostało przez Niemców odkryte. Wiem o tym z publikacji – Emila Kumor, Twarda 36. Konspiracyjny lokal gen. „Grota”, Stolica, Warszawa, 24 XI 1957 nr 47 oraz książki tego samego autora pt. „Wycinek z historii jednego życia”, Instytut Wydawniczy PAX 1967. [Ppłk. Emil Franciszek Kumor ps. „Krzyś” oficer KG AK ur. 1899, zm. 1957 – *przypis LKP*]. Doruchowski był oficerem Komendy Głównej Armii Krajowej (Oddziału VII Biura Finansów i Kontroli, Działu Skrytek Stałych) i adiutantem generała Stefana Grota-Roweckiego. [Generał dywizji Wojska Polskiego, ur. 25 XII 1895 w Piotrkowie Trybunalskim, zamordowany między 2 a 7 VIII 1944 w Sachsenhausen. Twórca i Komendant Główny Armii Krajowej – od 14 II 1942 – 30 VI 1943 – *przypis*



Tablica upamiętniająca bohaterów Powstania Warszawskiego z kaplicy wotywniej – obecnie kościoła parafii pw. Narodzenia NMP w Komorowie

LKP] W czasie okupacji Doruchowscy sprzedali stary dom i zamieszkali po drugiej stronie torów, wydaje mi się, że przy ul. Sportowej. Tam – o ile mnie pamięć nie myli – wiosną 1943 roku przyszło gestapo i aresztowało go. Chyba jednak nie do końca byli zorientowani kogo mają, bo wypuścili go na wolność. Tej informacji na 100% nie jestem pewien. Opieram się wyłącznie na swojej pamięci. Adiutant Komendanta, oficer tej rangi, wiedział bardzo dużo, dlatego na wypadek „wsypy” miał truciznę i mógł, a nawet powinien zrobić z niej użytek, gdyby czuł, że sytuacja tego wymaga... W kwietniu 1944 roku – na to są dokumenty – kapitan Stanisław Doruchowski został ponownie zatrzymany i osadzony na Pawiaku. Tego samego dnia – 6 kwietnia 1944 roku – w celi odebrał sobie życie...

Boże, miej go w swej opiece, a nam nie pozwól zapomnieć...

Amen... Przykłady mógłbym wielokrotnie, bo Komorów czuł i myślał po polsku. Za Polskę młodzi komorowianie walczyli i ginęli u boku Andersa, szli do Powstania... Naszym obowiązkiem jest docierać do prawdy o tamtych dniach. Świadomość tożsamości jest gwarancją wolności człowieka, trzeba wszystko zrobić, by pamiętać...

...nigdy nie zginęła...

Rozmawiała
**Lidia
Kulczyńska-Pilich**
cdn.



Fot. ze zbiorów Lidii Kulczyńskiej – Pilich. Widzimy na niej okolice obecnego ujęcia wody w Komorowie. Na horyzoncie zabudowania Komorowa Wsi. Tu niemieccy żołnierze przychodzili na ćwiczenia. Zdjęcie wykonane w 1939 roku. Autor NN, z albumu Czesława Szczypiora



Znalezione w archiwach

Kto pamięta o młynie...

„Kiedy młyn milknie, młynarz się budzi” – mówi stare przysłowie. Dzisiaj młyn komorowski milczy, już go nie ma w ogóle, osoby mojego pokolenia mogły go jeszcze widzieć, zanim przestał pracować, gdzieś pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Ale kiedy potem bywaaliśmy w jego okolicy, gdy staliśmy nad jego zrujnowanymi fundamentami, wydawało się czasami, że poprzez odgłos bulgoczącej i przelewającej się na rozwalonym spiętrzeniu wody słychać było chłupot jego koła, skrzypienie cewia, ryf, kluczy, legarów, koła paiecznego, wrzeciona, odgłos pracy kamieni młyńskich – leżaka i bieguna i wyobrażaliśmy sobie aksamitny szelest przesiewanej mąki. Młyn, napędzany przez płynącą wodę Utraty, jak stary drewniany zegar odmierzał od wielu setek lat upływ komorowskiego czasu. Ile pokoleń komorowian spoglądało na niego po raz pierwszy i po raz ostatni, jako na coś naturalnego, stałego, jako nieodłączną część Komorowa? Młyn był bowiem elementem stałym komorowskiego pejzażu.

Przeoglądanie dawnych map, które bardzo skromnie sięgają w przeszłość Komorowa, zaledwie na nieco ponad 200 lat, oraz dość skrupulatne poszukiwania zachowanych dokumentów, wskazują, że krajobraz tutejszy przynajmniej w ciągu ostatnich 500 lat wielokrotnie się zmieniał. Najszybciej ulegały zapewne zmianom zadrzewienia i zasięg lasów oraz zagajników. Drzewa żyją dłużej niż ludzie, ale w końcu i one jako najstarsi świadkowie krajobrazu – także odchodzą. Zasięg lasów, zagajników, zarośli nieprzerwanie ulega zmianom. Odmieniał się także na pewno nurt rzeki na odcinkach, gdzie płynęła swoją szeroką doliną. Pojawiały się wreszcie różne kopane przez mieszkańców rowy i stawy. Dość szybko (oczywiście w skali stuleci) znikają i powstawały w coraz to innych miejscach zabudowania. Ślady po rozebranych czy zniszczonych domach znikają

Młyn komorowski w ostatnich latach istnienia, zdjęcie ze zbiorów p. Lidii Kulczyńskiej-Pilich



z krajobrazu zadziwiająco szybko, pozostają czasem po nich bardzo skromne relikty archeologiczne i nic więcej. Ale jednym z tych niewielu obiektów niezmiennych, obok rzeźby terenu, przebiegu granic majątków i pól oraz trasy niektórych ważniejszych dróg, które są długotrwałe, był właśnie miejscowy młyn. Gdybyśmy mogli przenieść się w czasie do XV wieku, to mielibyśmy problem z rozpoznaniem Komorowa. Pomocny mógłby więc być nurt rzeki i młyn stojący nad nią. Gdyby nie niewielka zmiana jego położenia, która dokonała się w drugiej połowie XVIII wieku, czyli przesunięcie młyna o kilkadziesiąt metrów, znaleźlibyśmy go na trwale zasiedzonym w miejscu, gdzie do **starego** koryta rzeczki dochodzi droga prowadząca z Sokołowa i Pęcic, czyli dzisiejsza stroma uliczka Dzika. Jest to miejsce, gdzie pięknie nazwana ulica Dzika osiąga dziś najniższy swój punkt, ale obecnie nie widać już przebiegu pierwotnego odwiecznego koryta rzeki. Jeszcze kilkanaście lat temu był tam jej ślad w postaci błotnistego przejścia, kałuży, którą sączyła się zgodnie z kierunkiem biegu dawnej rzeki jakaś zanikająca i odnawiająca się ciągle strużka, niczym dziwne źródło. Zapobiegliwi mieszkańcy rzucali w tym miejscu cegły, różne śmieci i blachy, żeby móc przejść nad nim suchą nogą. To był dość charakterystyczny punkt. Obecnie – jeśli dobrze pamiętam – ową zanikającą odnogę rzeki przepuszczono kilka metrów dalej, niewidoczną bo zakopaną rurą. Następnie zanikająca struga granicą Salisowa płynie starym korytem, aby na wysokości granicy „parku sanatoryjnego” połączyć się znowu z głównym dzisiaj (a XVIII-wiecznym w istocie) nurtem. Zanim miejsce usytuowania młyna w XVIII wieku zmieniono, znajdowało się ono w powyżej opisanym miejscu od co najmniej 300 lat! I tam właśnie stały kolejne, drewniane budynki młyna.

Były to zapewne początkowo proste drewniane budowle poruszane jednym kołem. Utrata, zwana do początku XX wieku Nrową, miała dawniej wyższy od obecnego poziom wody. Pewnie więc pierwotnie młyn wyposażony był w koło podsiębierne zwane wałnym, które poruszała woda płynąca dołem. Takie młyny przestawały jednak działać, kiedy woda była zbyt niska, lub nurt zbyt słaby, a trzeba dodać, że w średniowieczu klimat był bardziej kapryśny niż dzisiaj, co powodowało nieprzewidywalne problemy z poziomem wody. W zapisach, które cytuję niżej, mówi się o grobli. Właściciel chcąc zabezpieczyć prawo obowiązkowego mielenia przez poddanych w swoim młynie, musiał zagwarantować, że młyn będzie mógł pracować zawsze wtedy, kiedy trzeba, w przeciwnym bowiem przypadku chłopci oddawaliby zboże do innych młynów (np. w Pęcicach lub Pruszkowie). Któregoś więc roku usypano w poprzek doliny groble. Ślady tej pierwszej średniowiecznej grobli były przez jakiś czas widoczne, kiedy w latach 90-tych ubiegłego wieku Utrata podczas wielkiego zimowego



wezbrania przerwała wał ziemny przy dawnym betonowym przepuszcisku. Podniesienie poziomu rzeki umożliwiło zastosowanie wielu urządzeń, być może podających zgromadzoną wodę na koło (nasiębierne tzw. „korzeczne”) od góry. Przy okazji powstawał staw, o którym również wspomina się w dawnych zapisach, w związku z prawami i obowiązkami wynikającymi z korzystania z niego.

Młyn był ważnym elementem folwarku. W Komorowie, jak zresztą w większości polskich wsi, należał do szlachty – właścicieli majątku. Był przez nich zbudowany oraz odnawiany i użytkowany na zasadzie corocznego wdzierżawiania młynarzowi. Stąd w łacińskich dokumentach termin „*molendinum annuale*”.

Najstarszy dokument wspominający ów młyn pochodzi z 1447 roku. Mówi się tam o podziale folwarku między trzech synów. Warto zaznaczyć, że młyn w Komorowie już stał od jakiegoś czasu, był więc wybudowany wcześniej. O ile wcześniej to było, nie potrafię powiedzieć, pewne sugestie można by być może znaleźć w dokumencie, w którym mówi się o przywileju Dadźboga, który to przywilej Dadźbóg dał niejakiemu Grzegorzowi [dokument z 21 X 1446]:

„*Item predicti Stanislaus et Johannes cum aliis fratribus dictum molendinum tenebuntur in eisdem rippis prout sunt ex antiquo non elevando ipsum supra nec dimittendo iuxta privilegium Dadzibogii quod idem Dadzibogius circa signacionem molendini dedit olim Gregorio*”.

Co należy tłumaczyć jako: „Dalej przerzeczeni, Stanisław i Jan [synowie Mikołaja z Pęcic – przyp. TT] z innymi braćmi rzeczony młyn będą trzymać w tychże brzegach, tak jak są od dawna, nie podnosząc go w górę ani nie zniżając, według przywileju Dadźboga [Dadźboga odnotowanego w Komorowie 20 lat wcześniej – przyp. TT], który tenże Dadźbóg przy oznaczeniu młyna dał niegdy Grzegorzowi”.

I następnie fragment późniejszego dokumentu z 20 XI 1448, który podają już tylko w tłumaczeniu:

„A tak [...] Grzegorz [syn Jana z Pęcic] będzie mógł przyłączyć groblę do wzgórza, które było w ogrodzie Jana i od swojego brzegu do brzegu dóbr kościelnych, i młyn uczynić, jak będzie chciał i folusz, i stupę sporządzić będzie mógł według swojej woli i wodą zalać będzie mógł, jeżeli będzie to konieczne, do młyna przerzeczonego i folusza, i stupy. [...] Dalej tenże Grzegorz za groblą z piasku na cztery pręty miary chełmińskiej dostawać i na naprawę grobli w dobrach kościelnych z piasku, drewna i faszyny, jeżeli będzie to konieczne, na naprawę grobli kopania i wycinania będzie miał prawo. Dalej tenże pleban i jego następcy powinni [...] dać drogę Grzegorzowi do młyna przez dobra kościelne prosto bez żadnej szkody. Dalej ludzie rzeczony plebana w rzeczonym stawie Grzegorza brania wody, bydła i trzody do wody [prowadzenia], szat płukania będą mieli prawo i podobnie ludzie rzeczony Grzegorza w stawie plebana będą mieli. Dalej tenże pleban i jego spadkobiercy w rzeczonym stawie wody zatrzymywać, to jest zastawić, nie powinni. Dalej tenże pleban tym, którzy do młyna przychodzą, wspólnych pastwisk bez szkody w dobrach kościelnych bronić nie powinien. Dalej tenże Grzegorz powinien prowadzić strugę upustną w dobrach kościelnych, jeżeli zechciałby. Dalej tenże Grzegorz powinien staw swój czyścić i poprawiać.”

Wspomniane stupy – stępy służyły do bicia oleju, otłukiwania jagieł z prosa i jęczmienia. Folusze natomiast służyły do folowania (wzmacniania) płótna na sukno. Bywały też folusze olejarskie. Nie wiem, czy budowle te ostatecznie zrealizowano.

Jak widać na tym skrótowo potraktowanym przykładzie, sprawa dziedziczenia była dość skomplikowana i wymagała bardzo dokładnych zapisów dokonanych w kancelarii grodzkiej. Szkoda, że zapisy te są dla nas dzisiaj bardzo trudne do rozszyfrowania, niemal nie sposób zidentyfikować podanych osób czy miejsc.

Następne chronologicznie wzmianki dotyczące komorowskiego jednokołowego młyna („*molendino aquatico annualiter unius rotae*”) pochodzą z następujących lat: 1530, 1533, 1536 – jako własność Jana syna Grzegorza, 1539 – własność Grzegorza i Mikołaja, 1564, 1570, 1571, 1577, 1578, 1580, 1583 – wówczas własność Maryny wdowy po Piotrze i z roku 1592 – jako własność Mikołaja. Kolejna wzmianka pochodzi z 1653 roku, kiedy młyn był własnością osoby nie związanej, jak mi się zdaje, z rodem Komorowskich – Jana Chądzyńskiego. Duże luki w dokumentach dają nam jedną, zresztą późniejszą, wzmiankę o gruntownej modernizacji systemu wodnego i samego młyna w XVIII wieku. W XIX wieku – pośrednio dokumentują nieprzerwane istnienie młyna w Komorowie zapisy wymieniające nazwiska młynarzy. Jeszcze Słownik Geograficzny pod datą roku 1845 odnotowuje w Komorowie młyn dwukołowy („o dwu gankach”) z gruntem ornym rozległości 15 mórg (8,5 ha). Być może był to jeszcze ów, wówczas już prawie stuletni, młyn osiemnastowieczny.

Zachował się opis młyna z roku 1849, w którym czytamy:

„35) Młyn stawny o dwóch gankach do pyłta z mieszkaniem i jednej izbie z alkierzem na węgiel pobudowany, nad dach której gontami pokryty jest wyprowadzony komin murowany, ma z frontu dwa okna i drzwi, od tyłu tak samo a z jednego boku okno, przy tym jest upust z drzewa a nieco dalej most z drzewa pobudowany.

36) Obora z drzewa w słupy postawiona z dachem słomą pokrytym o jednych drzwiach będąca.

37) Chlew takóž jak powyższa obora postawiona i pokryta o jednych drzwiach.

38) Kloaka podobnie jak powyższa obora postawiona i pokryta o jednych drzwiach.

Zdjęcie lotnicze z roku 1955. Strzałki od lewej pokazują: ślad fundamentów karczmy, zabudowania młyna oraz miejsce usytuowania młyna średniowiecznego; ze zbiorów autora





39) Stodoła z szopą z drzewa w słupy pobudowana z dachem słomą pokrytym o jednym klepisku, z jednymi wierzejami na przestrzał będąca. W tym i zabudowania pod czterema ostatnimi numerami opisane posiada Johan Lejman młynarz, z takowych oraz dodanych sześciu morgów gruntu i dwóch morg łąki płaci rocznie [właścicielowi majątku] Rubli srebrnych 150 i uskutecznia do dworu Komorowskiego bezpłatnie i bez miarki mlewe. W tym tu i zabudowania w dobrym stanie.”

W roku 1855 przychód z dzierżawy młyna wynosił 300 rubli. Dla porównania: w tym czasie bochenek chleba kosztował 3 kopiejki czyli 0,03 rubla, a za 3 ruble można było kupić elegancki surdut.

W roku 1886 rejestr pomiarowy dóbr wyszczególniał następne dane dotyczące ziemi, która należała do młyna i była użytkowana przez młynarza. Rozległość gruntu w całości wynosiła 11,5 ha, w tym: ogród warzywny 600 m², ogród owocowy 0,6 ha, ziemi ornej 0,6 ha, łąk „polnych” 6,6 ha, bagien 0,6 ha, wody (staw, rzeka, kanały) 1,2 ha, ziemi pod zabudowaniami 260 m². Było to więc chyba bardzo przyzwoite gospodarstwo.

Na koniec chciałbym ze specjalnym skupieniem, ponieważ wymieniam osoby zmarłe i zatrzymane w czasie, przywołać wynotowane przeze mnie, odzyskane nazwiska komorowskich młynarzy z XIX stulecia.

Pamiętając o nieznanym z imienia wielu ich poprzednikach i nie zapominając o wspomnianym Johanie Lejmanie¹⁾, mogę przedstawić następujące osoby:

1808 – Jan Rudnicki (ur. 1778),

1816 – Feliks Rowiński (ur. 1782),

1820 – Maciej Olszewski (ur. 1780),

1826 – Jan Walter,

1827 – znowu Maciej Olszewski i tego samego roku Wincenty Frankowski (ur. 1801),

1841 – Jan Olszewski, Paweł Sierakowski (ur. 1808) i Antoni Olszewski, w tym samym 1841 roku podany znowu Maciej Olszewski,

1844 do 1868 – Antoni Ładyński (ur. 1812), który później w roku 1884 roku był młynarzem w Pęcicach,

1869 – Józef Kawęcki (ur. 1841) i Stanisław Walędziński (ur. 1821), odnotowany jako młynarz komorowski także w roku 1875,

1893 – Aleksander Bednarski,

1892–3 – Jan Ładyński (ur. 1859), który później, w 1901 roku był też młynarzem w Czechowicach,

1897 – Nikodem Gnoiński,

1902 – Antoni Kobosko (ur. 1861).

Te osoby pojawiły się dla mnie w pewnym momencie, podobnie jak wiele innych nazwisk i zdarzeń z komorowskich i okolicznych dziejów, jakby z nicości. Ale tak naprawdę moja wiedza była właśnie tą nicością. Poznawanie historii uczy pokory.

Na koniec muszę dodać, że o młynie komorowskim w XX wieku ciągle nie potrafili powiedzieć nic, być może w przyszłości natrafimy na materiały dotyczące i tego okresu.

Tomasz Terlecki



¹⁾ Można dodać, że młyny tradycyjnie raczej nie były wydzierżawiane Żydom, czego podana, aczkolwiek niekompletna, lista może być przykładem.

Reformy gregoriańskie

Z eświecczenie i nieprzeżeganie nauki Chrystusa były na przestrzeni dziejów przyczynami licznych kryzysów, które przeżywał Kościół. Próba uporania się z jednym z nich przeszła do historii jako spór o inwestyturę, czyli obsadzanie stanowisk kościelnych. W średniowieczu duchowni byli właściwie jedynymi wykształconymi ludźmi. Zwłaszcza biskupi mieli olbrzymie znaczenie w swoich krajach. W związku z tym, władcy chcieli decydować, kto ma sprawować te funkcje w ich państwach. W X w. dominującą pozycję w Europie zdobyli cesarze niemieccy, którzy podporządkowali sobie także Kościół, wyznaczając nawet papieży.

W połowie XI w. papież Leon IX i jego następcy rozpoczęli reformy. Utworzono kolegium kardynalskie (nazwa „konklawe” pochodzi z XIII w.), które miało wybierać papieży, niezależnie od cesarzy i rzymskiej arystokracji. Reformy znacznie przyspieszył wybrany w 1073 Hildebrand, który przyjął imię Grzegorza VII. Miał on już wcześniej duże znaczenie na dworze papieskim, występując przeciw handlowaniu godnościami kościelnymi i odchodzeniu zakonników od celibatu (próba objęcia nim wszystkich księży nie powiodła się). Przełomowe znaczenie miał dokument *Dictatus papae*, w którego 27 punktach Grzegorz przedstawił swoje stanowisko odnośnie do relacji władzy duchownej i świeckiej. Stwierdził m.in.: „3. Tylko on sam [papież] może biskupów składać z godności lub do nich przywracać.” – inwestytura miała być zastrzeżona dla papieża, a co więcej, miał on dysponować koroną cesarską – „12. Jemu wolno władcami rozporządzać.” Kontrowersyjny stał się punkt 22: „Kościół rzymski nigdy nie pobłądził i po wszystkie czasy, wedle świadectwa Pisma św., w żaden błąd nie popadnie”.

Działania papieskie zaniepokoiły króla niemieckiego Henryka IV, który postanowił zdeponować Grzegorza. Papież odpowiedział klątwą, tym samym zwalniając jego poddanych z posłuszeństwa (punkt 27: „On może poddanych zwalniać od wierności bezecnym”). Na to tylko czekała opozycja wewnętrzna i władcy państw uzależnionych (w tym Bolesław Śmiały, który wówczas właśnie zdobył koronę). W 1077 Henryk udał się do tokańskiego zamku w Canossie, w którym zatrzymał się papież. Tam, jak pisał sam Grzegorz, monarcha „przez trzy dni stojąc u bramy zamku, zdjąwszy szaty królewskie, bosy, we włosienicy” błagał o przebaczenie. „Wzbudził taką litość i takie współczucie” towarzyszy papieskich, że skłonili oni Grzegorza do zdjęcia klątwy. Henryk wrócił do Niemiec, pokonał opozycję i... znów zaatakował papieża. Tym razem mu się udało: doprowadził do wyboru antypapieża i ucieczki Grzegorza do Salerno na południu Włoch, gdzie zmarł w 1085.

Jednak triumf cesarstwa był krótkotrwały. Konflikt zakończył się korzystnym dla papieżstwa kompromisem. Zawarty w 1122 konkordat w Wormacji przyznawał inwestyturę papieżom, jednak konieczne dla sprawowania urzędu dobra nadawać miał cesarz. Pozycje dwóch władz uniwersalnych Europy wyrównały się, wkrótce jednak to papieży zyskali przewagę.

Melchior Jakubowski

Kl. I LO





Jak dobry Bóg otaczał nas i innych swoją opieką...

Wspomnienia wojenne (6)



Ewa z Grocholskich Zielińska

W swoich notatkach Ewa z Grocholskich Zielińska opisuje, jak losy wojenne rzuciły ją do Komorowa. Tutaj była w momencie, gdy wybuchło Powstanie Warszawskie. W obawie o losy członków swojej rodziny, którzy przebywali w walczącej Warszawie, chcąc ich uchronić przed wywiezieniem do Niemiec, Ewa zdobyła przepustkę do obozu przejściowego w Pruszkowie. Autorka opisuje tragiczne warunki tam panujące, pokazuje sposoby wyprowadzania więźniów poza teren obozu. Wciąż nasłuchuje wieści o swoich bliskich, udaje jej się wyprowadzić z obozu stryja – Adama Remigiusza Grocholskiego i jego córkę Barbarę.

Zwykle byłam bardzo zajęta organizowaniem i ratowaniem ludzi, któregoś dnia w pewnym momencie nie miałam nic tak pilnego i pomyślałam sobie że trzeba pójść na „tory” (duży plac) gdzie wpędzano nowe transporty z Warszawy, jeszcze nie przesegregowane. Właściwie dotąd nigdy nie miałam czasu, aby tam chodzić, ale wtedy jakaś siła mnie tam pchała. Zachrypniętym od ciągłego wołania głosem krzyczałam: „czy jest ktoś z ulicy Mazowieckiej i ulic okolicznych?” Na placu, na ziemi siedziało grupkami mnóstwo ludzi. W tej masie trudno było rozpoznać jednostki. Nagle jakaś postać od tłumy się odrywa i idzie do mnie wołając „a ja proszę Boga, aby pani się zjawiła jak anioł i nas ratowała”. To nasza kochana Józinka – gosposia, która była z Mamą¹⁾ przez całe Powstanie. Padłam jej w ramiona pytając „co

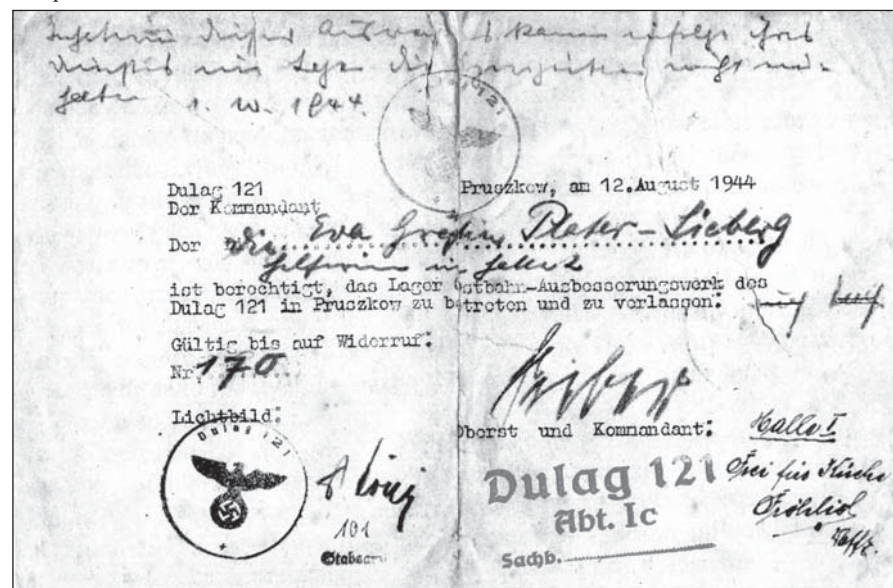
z Mamą?” „Mama jest, tam siedzi, ale słaba, chora na dezynterię”. Podbiegłam do niej wołając: „Mamo”, a Mama: „dziecko moje” i tak trwałyśmy w uścisku. Tak dobry Bóg pozwolił mi odnaleźć Mamę i Józinkę. Szczęśliwie wtedy warunki zwalniania osób bliskich siostrom pracującym w obozie złagodniały i można się było starać o indywidualne przepustki dla krewnych. Wypisałam więc przepustki dla Mamy, Józinki i jeszcze trzech pań, które były z Mamą, doktor je parafował, gestapo przyłożyło „gapę” i wyprowadziłam panie za bramę, ale przepustkę udało mi się zatrzymać.

Toż to wyjątkowa okazja mieć taką przepustkę! Poprosiłam Mamę, żeby opodał tuż za bramą gdzieś usiadła i zaczekała na mnie. Wróciłam do obozu, znalazłam 5 mężczyzn i nauczyłam ich jak mają odpowiadać na wywołane nazwiska – zgodnie z moją przepustką. Na przepustce przerobiłam żeńskie końcówki na męskie i żeńskie imiona na męskie. Na przepustce była Zofia Grocholska – została przerobiona na Zenona Grocholskiego itd. Oczywiście ze strachem szłam na bramę, ale wszyscy dobrze odpowiadali przy wyczytywaniu nazwisk i wszyscy też wyszli na wolność.

Niespodziewanie udało się też wyprowadzić Pana Sławińskiego, który był już w pociągu na wywóz. Pociąg jeszcze stał i drzwi nie były zamknięte. Akurat byłam z Lilką koło tego pociągu. Siostry podawały wodę w butelkach i co kto mógł. Pilnujący żołnierz chodził wzdłuż wagonu. Oddalał się od nas i wtedy pan Sławiński wyskoczył z wagonu, a Lilka i ja przemyciłyśmy go do sanitarnego, z którego wyszedł na wolność (dopisany do listy). Później przypadkowo spotkałam go na ulicy w Warszawie. Dziękował mi serdecznie za ocalenie i zapewniał, że chciałby się jakoś odwdziaczyć. Za jakiś czas znów się spotkaliśmy i znów zapytał się, jak mógłby okazać swoją wdzięczność. Byłam wtedy w tarapatkach i skorzystałam z jego pomocy. Był to adwokat, który za darmo przeprowadził mi jedną sprawę, na którą nie miałabym pieniędzy. To znowu była wielka pomoc i Opieka Boska.

Niektóre siostry zostawały na noc, aby być przy tych transportach, które przychodziły w nocy. Ja nigdy tego nie robiłam. Po całym dniu napięcia wracałam do domu, aby odpocząć w rodzinnej atmosferze. Ninka Miks wtedy mieszkała u nas. Wysłała ona z Powstania wiedzioną jakimś sprytem

Przepustka obozowa



i kiedy spotkałam ją w Leśnej Podkowie zaproponowałam, aby zamieszkała u nas. Nic nie wiedziała o swoich rodzicach od chwili, kiedy rozdzieliła się z nimi na początku Powstania. Ojciec jej, pół-Anglik specjalnie był narażony, więc się o niego bardzo bała. I tak któregoś dnia zdecydowałyśmy, że właśnie wyjątkowo zostaniemy na noc, bo spodziewano się transportu z Warszawy. Stałyśmy z boku tej drogi, którą wpędzano ewakuowaną ludność na teren obozu. I o cudzie!! W pewnym momencie, wśród tego tłumu Ninka spostrzeża oboje rodziców. Szczęśliwie udało się ich przemycić do sanitarnego, a stamtąd na indywidualnej liście na zewnątrz. Przecież tak łatwo mogliśmy się minąć, albo nie zauważyć w ciemności, przecież była noc, słabo rozświetlana obozowymi lampami. Radość była wielka i Ninki, i jej rodziców ze szczęśliwego odnalezienia się. Bogu niech będą dzięki!!

Do obozu chodziłam regularnie od 20 sierpnia 1944 roku do końca września i parę dni w październiku. Potem obóz opustoszał.

Kiedy to piszę minęło już 55 lat, a jednak te przejścia wciąż żywo są zapisane w mej pamięci. Miejsce tego obozu to bolesny uraz. Pamiętam, że kiedyś niedawno przejeżdżaliśmy tamtędy samochodem. Spojrzałam na mury okalające dawny obóz i od razu poczułam na plecach „gęsią skórę”.

Szkoda, że pewnych rzeczy nie da się zapamiętać!!!

Po śmierci (18 listopada 2005 r.) Ewy z Grocholskich Zielińskiej, I voto Plater-Zyberk, syn dostał list z kondolencjami od Andrzeja Przewłockiego

(syn Edwarda Przewłockiego i Karoliny z Czapskich, wnuk Eleonory z Plater-Zyberków Przewłockiej). Fragmenty tego listu załączamy, bo dotyczą działalności śp. Ewy w Pruszkowie.

Oto on:

Był rok 1944 – miałem wówczas 23 lata, byłem ranny w Powstaniu dość ciężko, ale jednak chodziłem. Udało mi się wraz z kolegą ze szpitala powstańczego wyjść z Warszawy wraz z wypędzonymi z Miasta cywilami i dostać się do obozu „przejściowego” w Pruszkowie, gdzie przedziwnym zrządzeniem Opatrzności natknąłem się zaraz po wyjściu z wagonu na Różę Plater-Zyberk z Pilicy – naszą najbliższą kuzynkę, od dziecka mi znaną. Równocześnie poznałem Twoją Matkę, której poprzednio nie znałem. Obie ściśle współpracowały, będąc z ramienia Niemców sanitariuszkami, a w rzeczy samej najróżniejszymi sposobami uwalniając kogo się tylko dało. Róża na wstępie powiedziała mi „zaraz cię uwolnimy”. Byłem tym wręcz oszumlony i na razie nie dowierzałem, ale jak się okazało, rzecz poszła błyskawicznie tak, że w obozie pruszkowskim ani razu nie przenocowałem, a następnego dnia uwolniły kochane mego kolegę ze szpitala powstańczego, z którym się rozstać nie chciałem. Uwolnienie mnie odbyło się następująco: byłem ranny, więc spowodowały, że dostałem przydział do szpitala, który znajdował się za obozem. Dojazd do szpitala odbywał się furmanką, na której były jeszcze dwie czy trzy osoby ranne. Eskortował nas żołnierz niemiecki z karabinem, a przy nim Twoja Matka, która zabrała się z nami, niby

dlatego, że był wieczór i ona wracała na noc do domu do Komorowa. Była przecież wolna, a droga wiodła w tym samym kierunku. Nie ujechaliśmy więc jak pół kilometra, gdy Mama Twoja coś poszeptala z tym Niemcem i trąciwszy mnie w bok szepnęła mi: „wysiadamy”. Droga była piaszczysta, koń szedł z trudem i bardzo powoli, więc stosunkowo łatwo wysiadłem wraz z Mamą i tym żołnierzem, który wraz z Mamą pozostał w tyle. Mnie Mama poleciła iść bezpośrednio za furmanką i tak szedłem. Po kilku chwilach podeszła do mnie i szepnęła: „załatwione – kosztowało kilo masła”. Teraz moje miejsce tuż za furmanką zajął żołnierz, a my z mamą zaczęliśmy pozostawać w tyle idąc bardzo wolno. Po pewnym czasie furmanka z żołnierzem na tyle się oddaliła, że mogliśmy znaną Mamie drogą skrócić do najbliższego przystanku kolejki EKD, którą dojechaliśmy już bez żadnych przeszkód do Komorowa i znaleźliśmy się w waszym gościnnym domu, między innymi wśród kilkorga dzieci, wśród których musiałeś być i Ty. Twoi rodzice gościli nas chyba trzy dni, bo następnego dnia mama przyprowadziła mego kolegę też rannego, ale potem poprosili nas, abyśmy się jednak ulotnili, gdyż nasza obecność z oczywistych względów narażała ich i cały dom. Najmocniej podziękowawszy przenieśliśmy się do małego szpitaliku, który był w Komorowie, a stamtąd po paru dniach podążyliśmy dalej na zachód, ale to już nie należy do tematu tego opowiadania.

Ewa z Grocholskich Zielińska

1) „Mama”, Zofia z Russanowskich Grocholska (1886-1972) matka autorki wspomnień, wdowa po Tadeuszu Grocholskim (1887-1920) starszym bracie Adama Remigiusza Grocholskiego.

Tak kończy się arcyciekawa opowieść śp. Ewy Zielińskiej z Grocholskich. Żałujemy, że maszynopis z ważnymi dla historii naszej *Małej Ojczyzny* „doniesieniami” dotarł do redakcji dwa lata po śmierci autorki. Dziękując jednak Bogu za ten dar jeszcze utrwalamy się w przekonaniu, że zarówno tym, których na zawsze przytuliła ziemia Komorowa, jak i tym, którzy z narażeniem życia nieśli pomoc potrzebującym – jesteście winni cześć...i miejsca, by ją w sposób godny okazywać. Tylko tyle i aż tyle... (LKP)





I tak Bóg stworzył świat..., czyli okiem geologa

I swój GPS każdemu Panie Boże daj...

Czy to wstyd się przyznać, że dotąd nie nabyłem do swojego samochodu tak ostatnio popularnego dzi-pi-esu (GPS)? Niektórym kierowcom, szczególnie tym o słabej orientacji przestrzennej, to małe pudełeczko z ekranem i zmieniającą się mapą oddaje nieocenione usługi. Jeździłem jako pasażer z kilkoma takimi, co mają GPS. Najbardziej ucieszyło mnie to, że toto gada. Gada i gada, a jak źle pojedziesz, bo na przykład przypomniałeś sobie o konieczności załatwienia jakiejś sprawy i zmieniasz swą trasę, to system najpierw spokojnie zwraca ci uwagę, potem trochę natarczywiej upomina, wreszcie daje spokój, bo orientuje się chyba, że z uparciuchem nie wygra.

Ja mam to szczęście (dał mi Bóg), że w mieście czy w lesie zasadniczo się nie gubię, co zresztą bardzo przydaje się w mojej pracy zawodowej – orientacja w terenie i na mapie to ważna sprawa. I może dlatego szczególnie zabawny wydaje mi się ten satelitaro-ziemski gadający gadżet. Zabawny, ale i czasem przecież może być przydatny. Jakkolwiek pamiętajmy, że wynalazł i zaprogramował go człowiek – istota omylna, czasem niedouczona. Trzeba brać na to poprawkę, kierując się GPS-em. Skoro człowiek się myli, to ten system też. I wtedy dajemy się wodzić „za nos”, bo mapa nie jest aktualna, drogowcy zamknęli jedyny most w okolicy lub np. ul. Bankowa jest od miesiąca jednokierunkowa. Trzeba aktualizować? Trzeba odnawiać wiedzę u dystrybutora? Trzeba, a jakże!

Przyznam się, choć chwalić się już nie ma czym, że wymyśliłem kilka lat temu szeptacz. Nie patentowałem wynalazku, bo sam nie cierpię nachalnej reklamy, a to właśnie coś z tego gatunku. Niestety, szeptacz jest natarczywym elektronicznym podszeptywaczem, który zainstalowany w supermarkecie, np. przy półce z proszkiem do prania, włącza się na widok nadchodzącego klienta i bezceremonialnie, ale konfidencjonalnie podszeptuje: – Kup Persila, co pranie umila... . Póki co, potrafisz to zlekceważyć, chociaż podszepty są niestety (stety) skuteczniejsze niż warczący pod sufitem głośnik. No, ale jakoś umykasz. A już w następnym regale witają cię z lewej i z prawej tajemnicze podszepty: – Ariel, Ariel..., Bonus, tani..., Bryza każdej plamie radę da! I nie uciekniesz daleko Drogi Kliencie, bo w kolejnych alejkach niewielkie, zamaskowane szeptacze wyczują twoją obecność i protekcyjnie przypomną ci, żebyś nie zapomniał kupić ketchupu, karmy dla kota, śmietany 18% itd. Wtedy zakupy w supermarkecie staną się dopiero koszmarem, chociaż już dziś robi mi się mdło, gdy

słyszę w hali wszędobylski łomot muzyki. Biedne kasjerki, słuchają tego, bo muszą. I tak przez kilka godzin dziennie. A klient? Ten jazgot ma go wprowadzić w stan oglupienia i quasi-wyluzowania, by jak najszybciej, bez zbędnych zastrawień zapełnił swój wózek i pognał do kasy. Poza sklepem, na parkingu, poczuje ulgę, że ma to już za sobą i w przewrotny sposób to zachęci go, by jeszcze kiedyś tu wrócił i wydał swoje pieniądze. By znów poczuł ulgę. Szeptacz to nie oddziaływanie na podświadomość, jak swego czasu w USA reklamy coca-coli i burgerów w formie jednoklatkowych obrazków na filmowej taśmie w trakcie kinowej projekcji. Ale takie gadanie zwiększa szum i ogranicza samodzielne myślenie. Dlatego świadomie nie skierowałem nigdy szeptaczy do seryjnej produkcji.

Wielu młodych ludzi katuje swoje mózgi decybelami ze słuchaweczek wpakowanych w uszy tak, że współpasażerowie w „wukadce” lub tramwaju nie mogą zebrać myśli. To przekleństwo współczesnej młodej generacji, która bez zahamowań i wyobraźni niszczy swój słuch. Z satysfakcją i pewną zazdrością zauważyłem już w kilku europejskich miastach, że w środkach komunikacji masowej pojawiła się nowa nalepka-piktogram: przekreślona głowa z rezonującymi słuchawkami w uszach. To zakaz słuchania przez kabelki muzyki tak głośno, że uprzykrza się życie innym podróżnym. I zakaz trzeba respektować, a jadący obok mogą go też śmiało egzekwować.

Zapytasz, co to ma wszystko ze sobą wspólnego? I czy jest jakiś związek tych wynalazków z chrześcijańskim podejściem do życia? Każdy w swoim życiu mniej lub bardziej zbacza z drogi, ulega pokusom, złym podszeptom, traci z oczu cel, miewa rozterki. Często na własne życzenie zagłuszamy sumienie i rozsądek, nie mogące się przebić przez łomot i jazgot otaczających nas „atrakcji” i „okazji”. Nie zawsze słyszymy głos, który jak idealny GPS pokierowałby nas na właściwą drogę, do przeznaczenia. Słuchamy chytrych podszeptów. Chętnie ulegamy złudom, wierzymy w nadęte zapewnienia, jak to, na przykład, że „tak robi 94% dorosłych Polek* (* wyniki oparte na próbie badawczej 16 kobiet w wieku...). To akurat marketingowe sztuczki i nadużycia. Ale w codziennym zmaganiu się z pokusami potrzebowalibyśmy dobrych, aktualnych wskazań. A podszepty niech wypowiada nasz Anioł Stróż. Nie bądźmy głusi.



nys. K. Nowosielska



dr Wojciech Irmiński



Jak dobrze, gdy pamięć możemy wesprzeć utwalonym na kliszy obrazem...

W ogrodzie wspomnień (3)

Kochani Czytelnicy Magazynu Parafialnego.

Są dni, chwile, które zapadają w serdecznie dobrą pamięć. Tak, jak ten mój pierwszy dzień w nowej komorowskiej szkole, w nowej klasie. Krzyżyk na drogę, ten dany mi przez babcię Manię, to On zawsze był rękojmą tego, co dobre w moim życiu. Tym dobrem zawsze był Komorów, ten zbudowany z ludzi i ten piękny wszystkimi porami roku. Bogu dziękuję za Komorów, moich sąsiadów do dziś przyjaciół, moich nauczycieli i za koleżeństwo, to dziecięce i to dorosłe, które mimo lat pełnych najróżniejszych doświadczeń, promienieje ciepłymi uśmiechami takimi jak te, na tych starych, naszych, jakże dziś cennych fotografiach.

Pozdrawiam Was i śpieszę opowiadać, jakie wspomnienia wywołała we mnie ta stara poźółtka fotografia, gdy kilka tygodni temu niespodziewanie wpadła w moje ręce.

Pierwszy dzień w nowej szkole

Uroczystość rozpoczęcia roku szkolnego dobiegła końca. Mateńka z Aldonką pożegnały się spojrzzeniami. Wychowawcy ustawionych w pary klas poprowadzili uczniów do budynku szkolnego. Szatnia przycupnięta tuż koło wejścia, tak jak i szkoła, wydały się Aldonce bardzo małe. W całym budynku przyjemnie pachniało pastą do podłogi, której wyfroterowane deski lśniły jak lustro. Wszyscy zmienili obuwie. Z szatni wchodziło się do wielkiej sali. Z niej to, przez liczne drzwi uczniowie dostawali się do promieniste położonych klas i zajmowali miejsca w ławkach, któ-

Komorów, czerwiec 1952 rok. Dziewczyny z mojej klasy przed naszą starą szkołą. Ze zbiorów LKP. Zdjęcie pochodzi z rodzinnego albumu Krystyny Przybylskiej-Katarskiej



re były niewielkie i pomalowane na czarno. W kącie klasy stał wysoki kaflowy piec. Dwie tablice wisiały na ścianie tuż koło siebie. Przez szeroko otwarte nieduże okna, do których ram przyczepione były białe, krótkie, rozsunięte na boki firanki – zwane zazdrostkami – wpadało wrześnie słońce, pomieszane z rozświetloną nim zielenią.

Nieznane jeszcze zupełnie dziewczynki i chłopcy, jej przysze koleżanki i koledzy zajęli szybko miejsca. Do Terecki, idącej razem z Aldonką, podbiegła jakaś dziewczynka, ale pani wychowawczynie poleciła jej usiąść w jednej ławce z inną koleżanką.

– Zaraz poznasz wszystkich – wychowawczynie zwróciła się do Aldonki. – Najpierw my przedstawimy się tobie. Potem ty powiesz nam kilka słów o sobie. Uczniów w klasie jest razem dwadzieścia dziewięć osób. Koleżanek masz czternaście a kolegów jest piętnastu – dodała i zaczęła wyczytywać uczniów z imienia i nazwiska.

Uczniowie wstawali. Aldonka patrzyła, ale przez napływające myśli o Kamionku i szkole sióstr felicjanek, pierwsze osoby i to, co mówiły, zlały się w jedno.

W mojej klasie miałam... – przypomniała sobie. Zaraz się rozplączę – pomyślała i przestraszyła się. Przez chwilę walcząc ze łzami zacisnęła oczy i dłonie, które spocily się. Aż się spocila, spocily mi się oczy jak u Nel, kochanej Nel, z mojej ulubionej książki Henryka Sienkiewicza *W pustyni i w puszczy* – pomyślała. Potarła jedną o drugą mokre ręce i przestała wspominać. Zaczęła słyszeć to, co mówili przedstawiający się uczniowie, jednocześnie uważnie przyglądając się wyczytywanym.

Pani doszła właśnie do litery F i wymieniła imię i nazwisko na tę literę. Wstała Sławka Fedorońko, wysoka dziewczynka, która powiedziała, że przyjaźni się z Tereską – Tereską Finke. Dziewczynka siedząca z Aldoną zerwała się z miejsca, coś chciała dodać, ale wychowawczynie powiedziała do całej klasy, że przyjaźń to wspaniałe uczucie i, że wie dobrze, że Aldonka znajdzie sobie w klasie przyjaciół.

Jakiś wysoki chłopak, który nie był jeszcze wyczytywany, powiedział głośno – one są na F. Pani uczyła go mówiąc, że niedługo przyjdzie na niego kolej, to wtedy opowie o swoich przyjaźniach.

Był na literę G. Nazywał się Tomek Gajdziński. Wycytany, wstał szybko, aż ławki w rzędzie, w którym siedział, przesunęły się z trzeszczeniem i hałasem.

– Tomku widzę, że energię masz jak zwykle za trzech – powiedziała pani, a on wcale nie zaprzeczył, tylko roześmiał się na cały głos i z rumorem usiadł na swoim miejscu. Wymieniani kolejni uczniowie wstawali, mówili o sobie kilka słów. Nagle zapadło milczenie. Wywołany przez panią Staś Jezierski wstał i milczał. Pani wyczytała go powtórnie,



dlatego Aldonka przyjrzała mu się dokładnie. Był drobnym, niewysokim chłopcem.

– On jest smutny – pomyślała, gdy siadał nie powiedziawszy nic o sobie. Przestała jednak natychmiast o nim myśleć, bo kolejni uczniowie opowiadali o sobie dużo i z chęcią.

Najdłużej przyglądała się Tadekowi, który mówił, że lubi fotografować. Nie dosłyszała jego nazwiska, ale pierwszy raz widziała, by ktoś miał takie duże, czarne i do tego zrośnięte razem brwi. Zabrzmiął dzwonek. Aldonka nadal wlepiła w niego oczy, gdy nagle usłyszała śmiech. To śmiał się tamten Tomek. Co gorsza, nie tylko śmiał się, ale i wołał na całą klasę – Tadek, Tadek, ale warkoczasta gapi się na ciebie!

– Zakochana para! Zakochana para! – powtarzał raz po raz, aż cała klasa ryknęła śmiechem

Aldonka zaczerwieniła się i skoczyła jak oparzona.

– Ty wstręciuchu! Chcesz się bić! – krzyknęła do chłopaka i zacisnęła dłonie w pięści.

– Dzieci! Co wy wyprawiacie? Aldonko, biłabyś się z chłopcem? – pytała pani wychowawczyni, ale Aldonka stała przed chłopakiem i powtarzała jak nakręcona katarzynka, to swoje – Chcesz się bić?

– Z dziewczynami się nie biję – krzyknął chłopak, a wybiegając z klasy pociągnął Aldonkę mocno za warkocz.

– On taki jest zawsze – powiedziała do osłupiałej Aldonki Tereska, a pozostałe koleżanki otoczyły je ciasnym kręgiem i każda wspominała, co jej zrobił *ten nieznośny*

Tomek w ubiegłym roku. Nie dam się ciągnąć za warkocze. Na pewno go kiedyś zbiję... – pomyślała Aldonka.

Pauza, nie wiadomo kiedy, skończyła się. Tego dnia nie było jeszcze nauki. Druga godzina też była z panią wychowawczynią. Teraz Aldonka miała opowiedzieć o sobie. Poczula straszną treść, ale gdy spojrzała na Tomka, gdy zobaczyła jego zawadiacki uśmiech i wpatrzone w siebie z kpina jego oczy, zaczęła opowieść o Gocławku, Kamionku, siostrach felicjankach. Najwięcej mówiła o ukochanym Księdzu Prymasie, swojej wychowawczyni pani Zofii Sankowej, koleżankach i kolegach z Kamionka. Pokazała wszystkim zdjęcie, które przyniosła z domu. Oglądali je z zaciekawieniem, nawet ten okropny chłopak, któremu ona obrażona wcale nie chciała pokazać fotografii. Jej nowa pani wychowawczyni również długo ją oglądała pytając Aldonkę o szczegóły. Kiedy oddano jej zdjęcie, pani powiedziała:

– Nie tylko mam nadzieję, ale wiem, że nas polubisz, równie mocno, jak tamtą swoją klasę. Polubisz – dodała ni to z pytaniem w głosie, ni to z twierdzeniem.

– Chyba tak – odpowiedziała bez ociągania, spoglądając na Tomka. Wlepił w nią śmiejące się, ale i kpiące oczy. – Zbiję go – pomyślała, ale nie wypowiedziała tego głośno.

Zapraszam na kolejne spotkanie do mego czarownego ogrodu

Aldona Kraus



Moje dzieci – gawęda młodej matki

Przytulanki

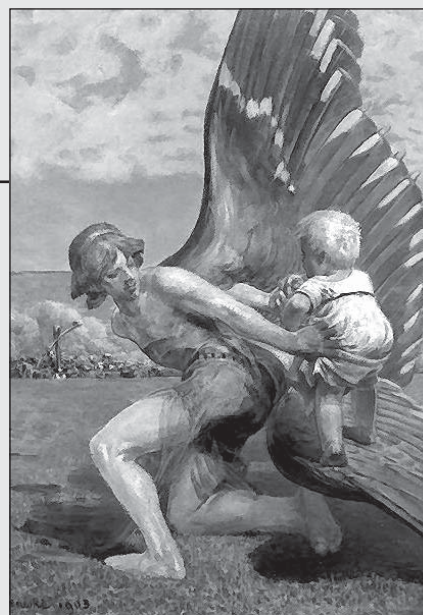
*Zuzia – lalka nieduża
I na dodatek cała ze szmatek,
w kratkę stara spódniczka,
Łzy na policzkach,
a w główce marzeń sto.*

*Lecz kocham ją najbardziej
ze wszystkich moich lał.
Choć nie ma sukni złotej,
Zabiorę ją na bal!*

Kocyk, pieluszka, maskotka, zabawka. Chyba każde dziecko na świecie ma swój ulubiony przedmiot, z którym się nie rozstaje. Coś, z czym zasypia, co wędruje z nim na spacer, co przytula, gdy jest zmęczone, niespokojne albo chore. Przytulanka, którą mamy w pośpiechu i ukryciu piorą, bo stan czystości woła o pomstę do nieba. Po pewnym jednak czasie – nierzadko ku zdziwieniu dorosłych – wyarty słonik

albo miś z naderwanym uchem, wcale nie lądują zapomniani na półce, ale wędrują do przedszkola; wciąż przesypiają noce obok swojego właściciela.

Prawdziwy dramat następuje w chwili, gdy przytulanka zaginie. Wiele osób nie potrafi zrozumieć, że taka strata jest dla dziecka bardzo bolesna, niezwykle trudno wytłumaczyć mu nagłe zniknięcie pluszaka i zrekompenzować to. Dlatego warto mieć wtedy drugi egzemplarz ulubionej zabawki na takie „w razie czego”. Zdarzało mi się czytać ogłoszenia, w których rodzice opisywali pluszową kacuszkę i wyznaczali nagrodę za jej znalezienie. W niektórych krajach istnieją strony internetowe (np. we Francji www.misterdoudou.fr), na których można zgłosić znalezioną maskotkę, a jeśli przez jakiś czas właściciel nie znajduje się, zaopiekować się maskotką, która



straciła właściciela. Opis zabawki jest niezwykle dokładny.

To dobrze, że dziecko ma swojego przyjaciela. Niech opiekuje się nim. A dorośli – może pamiętający albo mający gdzieś tam na strychu swoją własną ulubioną zabawkę, niech nie szcędzą miłych słów i również za-
przyjaźnią się z pierwszym przyjacielem malucha.

**Agata Tomaszewska-
Antoniewicz**





32 Mazowiecka Drużyna Harcerek „Mandragora” im. hm. Zofii Florczak

To już 10 lat!



W tym roku będziemy obchodzić jubileusz dziesięciolecia istnienia naszej drużyny. Aż trudno uwierzyć, że drużyna harcerek w Komorowie istnieje już dziesięć lat. I choć to niezbyt długi okres czasu, mało kto już wśród nas pamięta, jakie były początki i nasza historia. Do dnia dzisiejszego ze Związkiem Harcerstwa Rzeczypospolitej związane są tylko dwie osoby, które były na pierwszej zbiórce drużyny.

W kolejnych numerach Magazynu Parafialnego chcemy przybliżyć historię żeńskiej drużyny. Mam nadzieję, że ten cykl przygotowuje także nas harcerki do rocznicy, którą będziemy obchodzić w październiku.

Początki

Środowisko „32” ZHR zaistniało w Podkowie Leśnej. Drużynę męską – 32 Mazowiecką Drużynę Harcerzy, założył tam phm Cezary Uszyński w grudniu 1994 roku. Kolejny drużynowy, Przemysław Bryksa, postanowił rozszerzyć działalność drużyny na Komorów i okolice. Od 1997 roku rozpoczęły się zbiórki chłopców i wkrótce powstały dwa zastępy „Boby” i „Dziki”, które były częścią drużyny z Podkowy. Kiedy pojawili się chłopcy w mundurach, z ciekawością przyglądały się temu dziewczęta. Niektóre, te bardziej odważne, pytały czy one też mogą przychodzić na zbiórki. Ale w Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej nie ma koedukacji, działają dwie niezależne organizacje: harcerki i harcerzy, więc dziewczęta nie mogą należeć do drużyny męskiej. Potrzeba było roku, żeby powstała drużyna żeńska. 3 października 1998 roku o godzinie 11.00 przy szkole w Komorowie odbyła się pierwsza zbiórka 32 Mazowieckiej Drużyny Harcerek „Mandragora”. Przyszły na nią 24 dziewczęta, mimo że pogoda tego dnia była deszczowa i zimna, a spotkanie odbywało się na powietrzu. Po tej pierwszej odbyły się następne. Spotykałyśmy się co tydzień w sobotę, a z czasem z początkowej liczby 24 wytrzymało tylko 14. Od drugiej zbiórki dołączyła do nas Helena Cejrowska, która przeniosła się z 1 Drużyny Harcerek „Leśne Echa” działającej w Podkowie Leśnej. Pod koniec listopada pojechaliśmy na zlot Hufca „Ścieżka”, do którego należała nasza drużyna, i po raz pierwszy nasze dziewczęta zobaczyły inne harcerki. Wspólnie z drużyną harcerzy z Podkowy i Komorowa wyjechaliśmy na nasze pierwsze zimowisko do Jastrzębiej Góry. Nie było nas dużo, ale na tym zimowisku powstał pierwszy zastęp, najstarszy i istniejący do dziś – „Świetliki”. 22 lutego 1999 roku obchodziliśmy po wielu latach pierwszy Dzień Myśli Braterskiej w Komorowie. Uroczystość przygotowały wspólnie drużyny ZHR z Komorowa, Podkowy i Brwinowa oraz Hufiec Pruszków z ZHP. W marcu 1999 r. Helena założyła swój zastęp „Kosodrzewina” w Podkowie Leśnej i odtąd nasza drużyna funkcjonowała już w dwóch miejscowościach i liczyła 29 osób.

Drużyna harcerek zobowiązana jest do pełnienia służby. Od początku istnienia naturalnym miejscem służby

była Parafia w Komorowie. Uczestnictwo w uroczystościach, roznoszenie paczek biedniejszym, pomoc przy sprzątanii terenu przy kościele czy warty przy Grobie Pańskim, to były nasze zadania. Tradycję wart harcerskich odnowiliśmy w Komorowie w Wielki Piątek 1999 r. W tym roku w czerwcu z VI Pielgrzymką przybył do Polski Jan Paweł II. Pięć starszych druhen z „Mandragory” brało udział w całej dwunastodniowej Białej Służbie.

A po całym roku pracy wyjazd na obóz – nagroda a zarazem możliwość sprawdzenia swoich umiejętności i hartu ducha. Ten pierwszy obóz drużyny w 1999 r. w Jerutkach nad jeziorem Marksoby był pamiętny, zwłaszcza dla mnie wówczas młodej drużynowej. Harcerki nigdy w życiu nie mieszkały przez miesiąc w lesie, nie mówiąc już o rozstawianiu namiotów i budowaniu łóżek i półek z żerdzi. Po roku zbiórek harcerki jeszcze niewiele umiały, zwłaszcza z technik obozowych. Po rozstawieniu pierwszego namiotu z innymi poszło szybciej, ale pionierka... Pięć zastępów, a ja sama i jak tu nauczyć każdego posługiwać się piłą i toporkiem? Na szczęście wszyscy przeżyli, po pięciu dniach pionierka stanęła, u „Kosodrzewiny” nawet piętrowa! Potem były pierwsze zwiady, „chatki”, wędrowka i obozowe rekolekcje – „Duszochwaty”. Lipiec minął szybko i Watra zakończyła obóz. Ale został jeszcze sierpień i pielgrzymka do Częstochowy z powstałą w 1998 roku (równolatka) w ramach WAPM harcersko-jezuicką Grupą „Szara”.

Od września zaczęłyśmy kolejny rok naszego harcowania. Harcerki coraz częściej pojawiały się na ulicach Komorowa i choć było nas już dużo więcej niż harcerzy, zazwyczaj mówiono o nas w męskiej formie: HARCERZE. Miejmy nadzieję, że kiedyś społeczeństwo zrozumie różnicę między harcerkami i harcerzami.

W 2000 roku w Komorowie gościli młodzi z różnych krajów na spotkaniu Wspólnoty z Taizé. Nasza drużyna wraz z drużyną harcerzy służyła jako przewodnicy dla naszych gości.

Ten rok była dla drużyny rokiem dużego rozwoju. Po obozie Helena została moją przyboczną, w drużynie działało pięć zastępów, a liczba harcerek przekraczała 30. Wraz z innymi drużynami ze Środowiska „32” organizowaliśmy różne harcerskie uroczystości: Bal Kadry, Dzień Myśli Braterskiej czy Dzień Skupienia przed Świętami Wielkiej Nocy. Był to też rok bardzo udanego zimowiska w Bukowisku w Beskidzie Niskim i pierwszego biwaku Zastępu Zastępowych „Jemioła” w Polesiu Nowym w Puszczy Kampinoskiej. Najlicniejszy skład – 35 osób, drużyna miała na obozie w Mermecie. Mimo to, a może właśnie dlatego, najstarsze harcerki wciąż uważają go za najlepszy obóz w naszej historii.

phm. Małgorzata Bryksa-Godzisz HR
pierwsza drużynowa 32 MDH-ek „Mandragora”
im. hm. Zofii Florczak



Tylko dla ambitnych

czyli o marzeniach, aspiracjach i tym wszystkim, co dodaje człowiekowi skrzydeł

Magda Walkiewicz: *Moi drodzy! (śmiech) Porozmawiajmy dzisiaj o naszych ambicjach. Czy wy w ogóle macie jakieś ambicje?*

Karolina D.: To wiąże się z moimi zainteresowaniami. Moją ambicją jest to, by w przyszłości zostać dobrym psychologiem i dziennikarzem. Chcę zrealizować moje marzenia o karierze. Co robię, żeby to osiągnąć? Rozmawiam z ludźmi, staram się im pomagać, piszę o tym. To, co robię, poddaję krytyce.

Michał Sz.: Ja też mam ambitne plany na przyszłość. Chciałbym zostać biznesmenem.

Karolina D.: Ambicja według mnie polega na tym, że chcemy do czegoś dojść i dużo temu poświęcamy naszego czasu i wysiłku. Czegoś chcę, więc z całego serca do tego dążę. Z drugiej też strony ambicje mogą wywoływać różne inne konsekwencje, np. bóle żołądka, bo się stresujesz, że ci coś nie wyjdzie.

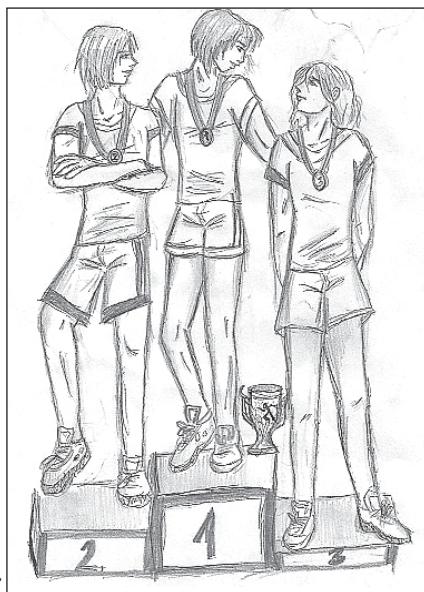
Magda Walkiewicz: *A co uważacie na temat powiedzenia: „Cel uświęca środki”? Czy człowiek, który czegoś bardzo pragnie, powinien zrobić absolutnie wszystko, by to zdobyć?*

Magda R.: Zależy, co chce zrobić!

Karolina D.: W niektórych krajach ludzie dążąc do sukcesu decydują się na zerwanie małżeństwa, zrywają przyjaźnie i kontakty z rodziną. Czasem ranią czyjeś uczucia, tylko po to, by coś zdobyć. Według mnie jest to bardzo niesprawiedliwe. W życiu człowieka musi być miejsce na uczucia.

Michał Sz.: Dla mnie takie postępowanie jest też całkowicie nie do przyjęcia.

Magda Walkiewicz: *Ja znalazłam taki przykład w książce Leona Kruczkowskiego „Niemcy”. Chodzi o postać profesora Waltera Sonnenbrucha. Był*



Rys. Marta Budkiewicz

on świetnym naukowcem. Jego badania były wybitne, ale wykorzystywano je do zabijania ludzi podczas wojny. Wszystko posłużyło do nikczemnych planów, a on w ten sposób zyskał sławę.

Karolina D.: Nie powinniśmy dążyć do spełnienia swoich marzeń zadając innym ból.

Michał Sz.: Tego profesora należałoby skazać na dożywocie za wyrządzone krzywdy!

Karolina D.: Z kolei u nas na historii, nasza pani Urszula Osieńska mówiła, że w Korei Północnej na ludziach robi się straszne eksperymenty. Tam ludzi traktuje się jak przedmioty. To jest zabronione, ale nikt nie wypomni tego Korei, bo posiada broń jądrową.

Magda Walkiewicz: *A ty Igor, masz jakieś plany na przyszłość?*

Igor P.: Niespecjalnie. Głównie jestem, więc jestem. Żyje, bo żyje. No i tyle.

Magda Walkiewicz: *A nie wydaje ci się, że taki brak myślenia o swojej przyszłości jest grzechem? Jest powie-*

dziane przecież w Piśmie świętym, że mamy swoje talenty rozwijać.

Igor P.: Może i tak, ale w tej chwili jestem stosunkowo za młody na to.

Magda Walkiewicz: *Czasami jest tak, że ma się zdolności i nie się z nimi nie robi, mówi się: „A jakoś tam będzie”... i zakopuje się swój talent.*

Agata P.: Nie zawsze wszystko od człowieka zależy.

Magda Walkiewicz: *Czy mieliście może takie sytuacje, kiedy nadzieja was zawiodła?*

Michał Sz.: Jak już pryśnie, to trudno ją odzyskać. Jest się tak jakoś w dole.

Magda Walkiewicz: *Co się dzieje z człowiekiem, który nie ma żadnej nadziei, brakuje mu ambicji, nie ma żadnych planów na przyszłość?*

Magda Wiernicka: Trzeba mu pomóc odnaleźć nadzieję, bo może się zagubił.

Agata P.: Powinien spróbować odzyskać nadzieję i jakoś naprawić to swoje życie.

Magda Walkiewicz: *Rozpacz to grzech przeciwko nadziei. Jaką dać radę rozpaczonemu?*

Karolina D.: Trzeba mu dać do zrozumienia, że od tej nadziei zależy teraz jego życie, że musi zebrać w sobie siłę i zacząć wszystko od początku.

Igor P.: Przede wszystkim musi też zastanowić się nad swoim życiem, co powinien w nim zmienić, poprawić.

Magda Wiernicka: Przede wszystkim nie może on zapomnieć, że Bóg zawsze przy nim jest, zawsze mu pomoże i nigdy go nie opuści.

Karolina D.: No, a jak ktoś jest ateistą?

Magda Wiernicka. To właśnie za takich ludzi musimy się modlić.

Magda R.: Sama ambicja nie wystarczy. Trzeba wierzyć i mieć przyjaciela, który człowieka wspiera.

W dyskusji udział wzięli:

K. Danecka, A. Pawuła, I. Połowicz, M. Rafalska, M. Szklarski, M. Wiernicka, a całość przygotowała i poprowadziła

Magdalena Walkiewicz



Jesteśmy normalni

– twierdzą ludzie z ekipy rekolekcyjnej

Karolina: Czy możecie nam powiedzieć coś o swojej Wspólnocie?

Piotr Sowa: Wspólnota św. Tymoteusza ma swój dom w Gubinie. Jesteśmy ludźmi, którzy w jakiś sposób odnaleźli się w dziele nowej ewangelizacji. Dołączają do nas również osoby, które chcą nam pomagać na zasadzie wolontariatu. Są z nami przez rok, a potem gdzieś jadą i dalej przenoszą nabyte doświadczenie. Są też tacy, którzy współpracują przy różnego rodzaju akcjach, kursach, rekolekcjach.

Karolina: Po co to wszystko?

Piotr Sowa: To odpowiedź na wezwanie soborowe i obecne potrzeby kościoła. Chodzi tu zwłaszcza o potrzebę tzw. *Nowej Ewangelizacji*, czyli poszukiwania nowych metod, nowych środków wyrażania się, po to, by skuteczniej głosić Ewangelię. Treść ta sama, tylko wiadomo – zmieniają się warunki, inni są odbiorcy. Trzeba więc dostosować język, którym się mówi, szukać nowych rozwiązań. I stąd właśnie np. te różne scenki podczas rekolekcji. To dociera do młodych. Chcemy, by Kościół faktycznie był żywy. Sama Wspólnota ma teraz chyba 10 lat. Ojcem założycielem jest ks. Artur Godnarski.

Magda: W jaki sposób wy znaleźliście się w Gubinie?

Justyna Staniec: Akurat my nie jesteśmy z Gubina. Przyjeżdżamy tam tylko co jakiś czas i jeżeli jest taka potrzeba, współpracujemy.

Ewa Aleksandrowicz: Ks. Artur przyjechał na *Kurs Emaus* do mojego miasta. Bardzo zainteresowała mnie forma ewangelizowania. Był to sposób twórczy: przez muzykę, taniec, scenki. Pojechałam na warsztat przed *Przystankiem Jezus*, który był w Kostrzynie nad Odrą, tam gdzie Woodstock. Stwierdziłam, że warto współdziałać. Byłam w grupie flagowej z Justynką. Machamy razem flagami i Piotr też. I tańczymy wielbiąc Boga ciałem. I to jest bardzo ciekawe doświadczenie, ponieważ ludzie młodzi przychodzą po mszy i mówią: *Dzięki za to, że jesteście, za to, że machacie. To pomaga mi się modlić. Jak widzę te kolory i czuję ten rytm, to mi pomaga.*

Tosia: Jaką rolę odgrywa w waszym życiu Bóg?

Piotr Sowa: To chyba najbardziej pokazuje życie, sposób, w jaki na co dzień żyjemy. Wydaje mi się, że najlepiej widać to po świadectwie

życia. Dużo o Bogu mówimy. Ważna jest jednak konfrontacja z codziennymi sprawami, problemami, sposobem ich rozwiązywania, podejściem do życia. Każdy z nas może mówić o swoim doświadczeniu, o spotkaniu z Bogiem. Bóg do każdego podchodzi zupełnie indywidualnie. Ja osobiście mogę mówić o Bogu jako moim Przyjacielu, bo pomógł mi w wielu trudnych sytuacjach. Jest to mój Zbawca, dzięki któremu mogę mieć nadzieję. Bóg jest dla mnie przyszłością, oparciem. Nie jest dalekim, surowym tatą, który tylko patrzy, co zrobiliśmy dobrego czy złego. Z Nim można wejść w relację. Odkryć, że jest piękny. Gdy się modlimy, możemy doświadczyć tego, że Bóg właśnie jest Piękny, Ciepły, Kochający, a jednocześnie bardzo też taki dynamiczny. Pociąga w jakiś sposób.

Ewa Aleksandrowicz: Ostatnio odkryłam, że relacja z Bogiem jest bardzo żywa. Pomaga mi odkrywać moją kobiecość. Przejawia się to w mojej relacji z Piotrkim. Jesteśmy ze sobą już 3 lata. Więż z Bogiem pomaga nam w samym fakcie przeżywania czystości. Popatrzcie na świat – jest tyle tych reklam, gazet przepelnionych po prostu seksem, przemocą... Myślę, że oparcie się na Bogu pomaga żyć w czystości i budować prawdziwe szczęście. Jest jedynym fundamentem. Zobaczcie ile jest rozwodów, kryzysów małżeńskich. Gdy idę z Jezusem, no to sorry, tego nie ma. Relacja z Bogiem nie jest łatwa, ale jest gwarantem szczęścia.

Justyna Staniec: Dzień zaczynamy od przywitania się z Bogiem. Mam taką zasadę, że nie wychodzę z domu bez modlitwy. Podczas tych rekolekcji uczę się ufności do Boga. On jest dla mnie takim Dawcą pokoju i zaufania. Mogę Mu w pełni zaufać, że cokolwiek się stanie, to On zawsze jest. I mogłoby się wydarzyć trzęsienie ziemi, śmierć kogoś bliskiego, to po prostu zawsze mam tę nadzieję w Panu i radość. A kiedyś było inaczej, często bałam się. W środku siebie pytałam: *Panie Boże, czy to się uda?* Myślę, że Pan Bóg jest dla mnie ostoją.

Karolina: Powiedźcie nam jeszcze parę zdań o swoim życiu, zainteresowaniach, pracy...

Justyna Staniec: Ja jestem lekarzem dentystą. Za niecałe dwa mie-

Wspólne zdjęcie z ekipą rekolekcyjną





siące wychodzę za mąż za najwspanialszego chłopaka na świecie. No i... jestem szczęśliwym człowiekiem.

Ewa Aleksandrowicz: Studiuję pedagogikę szkolną i przedszkolną, czyli dzieci to moja specjalność. Jestem na czwartym roku studiów w Zielonej Górze. Mam dwóch braci, jeden jest księdzem, drugi studiuje ekonomię. Mam fajnego chłopaka Piotra, który też pomaga mi odkrywać Boga. Lubię pływać.

Piotrek Sowa: Studiuję teologię w Krakowie. Interesuję się wieloma, wieloma rzeczami. Mam wspaniałą dziewczynę. Staram się odkrywać w życiu Bożą pasję. Odkrywam Boga, studiuję, staram się zgłębiać dogmaty. Bardzo ciekawi mnie psychologia, przyroda, muzyka, fotografia, sztuka, komputery. Robię prezentacje podczas rekolekcji.

Magda: Chciałyśmy jeszcze zapytać o same rekolekcje. Co chcieliście nam przez nie przekazać?

Piotr Sowa: Chcieliśmy wam pokazać, że bycie z Bogiem nie oznacza utraty normalności. My też jesteśmy normalni, cieszymy się, chodzimy na imprezy. My też potrafimy wariować, wygłupiać się. Bycie z Bogiem jest normalne i daje radość. To jest jedna bardzo ważna rzecz, a chyba najważniejsza to ta, że Bóg jest Miłością. Bóg kocha każdego i kiedy się spotykamy na tej sali, nie ma osoby, której by Bóg nie kochał. Ludzie jednak często nie doświadczają tego. Wymykają się albo kierują uprzedzeniami wobec religii. Chcemy im pokazać, że Kościół to nie tylko księża i instytucja, ale żywy Bóg, który kocha wszystkich.

Justyna Staniec: Ja chciałam zachęcić młodzież to tworzenia wspólnot, grup, w których ludzie będą się wzajemnie wspierać modlitwą. Będą po prostu mogli na siebie liczyć i razem będą mogli świadczyć o Bogu.

Tosia: Czy odczuwacie treść przed wystąpieniem?

Justyna Staniec: Ja zawsze, ale gdy już zaczynam coś mówić, jakoś tak wszystko idzie. I trema odchodzi...

Ewa: Ja też. Tak po ludzku: *Jejku, wyjdę, wszyscy będą na mnie patrzeć, wszyscy zauważą pewnie szczegóły i czerwona się zrobię.* Ale później jak już się mówi z Duchem Świętym, to tak – płynie się... I Bóg zabiera te wszystkie blokady. Można patrzeć w oczy każdemu.

Karolina: Co czujecie po rekolekcjach?

Justyna Staniec: Bardzo...bardzo się cieszę, że tu przyjechałam i sama czuję się nawrócona. Przez to, że głosimy Słowo Boże, my się też nawracamy. My się zbliżamy do Boga. Bardzo mnie wzruszyły i przyniosły wiele radości spotkania z młodzieżą.

Piotr Sowa: Jeżeli mówimy o liceum i gimnazjum, to tak naprawdę przed tą młodzieżą powstało ciężkie zadanie. Żyją w swojej szkolnej kulturze i teraz wybić się, pójść na rekolekcje, przystąpić do sakramentu spowiedzi, komunii świętej, kiedy kolega z boku się śmieje, kiedy inni mówią, że to są nudy. A jednak ktoś idzie, chce uczestniczyć i szuka czegoś. To takie małe cuda. Można mówić o statystykach: czy dużo młodzieży poszło, czy fajny klimat, czy nie, ale patrząc na to, jak młodzież przełamywała się przez te parę dni... 80, 90% osób poszło do komunii. I nie tak na hurra, tylko było to faktycznie przygotowane przez sakrament pokuty i gdzieś tam wiele ukrytych łez. To są indywidualni ludzie. I wydaje mi się, że to, co się wydarzyło, jest takim Bożym cudem. I przez te parę dni człowiek się sam rozkleja, jak widzi takie rzeczy. Kiedy jest hałas i szum, to człowiek sobie myśli, co za zła młodzież. Okazuje się, że jak tak trochę pobyliśmy ze sobą, zmieniły się nasze relacje. Gdybyśmy byli dłużej, to byłoby jeszcze ciekawiej. Nie wszyscy w jakiś sposób włączyli się w te rekolekcje, ale wierzymy bardzo, że to po prostu kwestia czasu.

Tosia: Co według was było największym osiągnięciem?

Piotr Sowa: Właściwie największym sukcesem jest Pan Bóg. Możemy przeprowadzić jakąś supermetodę, czy superrekolekcje, ale kiedy nie będzie interwencji Pana Boga, jeśli to On nie będzie odnosił zwycięstwa w ludzkich sercach, niczym byłoby jakieś nasze zwycięstwo.

Karolina: Czy zajmujecie się jakimiś publikacjami? Na zakończenie rekolekcji rozdawaliście gazetki *Dobra Nowina*...

Piotr Sowa: Wspólnota wydaje jedynie takie świadectwa. Druga rzecz to muzyka – zespół *Przystanek Jezus*. Trzecia – płyty DVD, na których są zamieszczone materiały z *Przystanku Jezus*, świadectwa ludzi, którzy na-

wracali się. Jest wiele rzeczy, które wydajemy, ale też, które promujemy. Promujemy *Namię*, promujemy książkę Roberta Kościuszko. I wiele innych rzeczy.

Magda: Czy możemy mieć nadzieję, że nas jeszcze odwiedzicie?

Justyna Staniec: Mamy nadzieję, że Wy będziecie z nami jeździć na rekolekcje.

Ewa Aleksandrowicz: Zapraszamy do Gubina na warsztaty *Przystanek Jezus*.

Piotr Sowa: Myślę, że najprostszym kontaktem to jest www.tymoteusz.org.pl albo www.przystanekjezus.pl, tam są różne informacje. My nie mamy patentu na rekolekcje. Mamy jakiś swój sposób, styl bycia. Jest wiele grup rekolekcyjnych, które mają różne sposoby ewangelizowania. I trudno powiedzieć kto jest lepszy czy gorszy. Różni są odbiorcy, więc warto zapraszać różne ekipy rekolekcyjne. Trzeba zapraszać różnych rekolekjonistów dlatego, że ludzie są różni i różnie odbierają.

Tosia: Czy chcielibyście nam coś jeszcze przekazać?

Piotr Sowa: Podziękowania. Byliśmy bardzo ciepło przyjęci, oniesmieleni wręcz tą dobrocią... Chcemy też przekazać wam zachętę, żeby treści, które do was dotarły, nie uciekły. Zachęcamy także do tworzenia wspólnot.

Z ekipą rekolekcyjną rozmawiały

*Karolina Danecka, Tosia Filipek
i Magda Rafalska
uczennice kl. 1 d gimnazjum*

Jesteś silny

Kwiatów się pytasz
O zagubione szczęście.
Pamiętaj, wielu ludzi się zamyka,
Przeegrali – Ty walcz zawzięcie...

Nie jesteś cisem pospolitym,
Zagubionych ludzi cała masa.
Pamiętaj, że pech nigdy nie trwa
wiecznie,
Tak jak szczęśliwa passa.



*Karolina Danecka
ucz. kl. 1d gimnazjum*



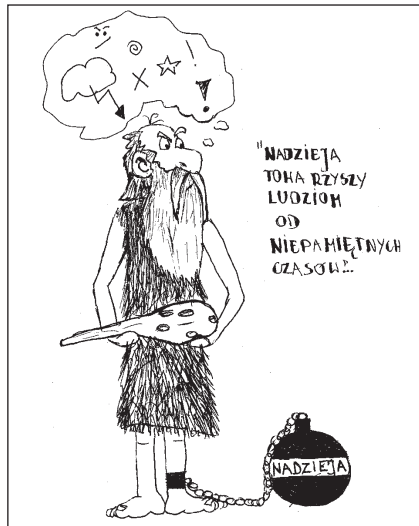
Nadzieja matką głupich

Nadzieja towarzyszy ludziom od niepamiętnych czasów. Każdy człowiek, czy to był nasz dziadek, czy też prapradziadek, pokładał w czymś nadzieję. Podczas wojny, na przykład, wierzono w szybkie odzyskanie niepodległości, a w bardzo trudnych momentach życia towarzyszy ludziom wielka ufność, że mimo wszystko przetrwają. Niektórzy jednak nazywają nadzieję matką głupich. Nawet nie wiedzą, jak bardzo się mylą.

Nadzieja jest jak płomyk, który świeci w ciemności i rozjaśnia mrok. Chrześcijaństwo jest właśnie religią nadziei, zbudowanej na Dobrej Nowinie. Nadzieja chrześcijańska nie jest jakąś tanią łatwowiernością, choć niektórzy tak myślą. Nie uczą się do klasówki i „mają nadzieję”, że dostaną dobrą ocenę. To kompletna bzdura. Czy z pojęciem nadziei można wiązać taką sytuację, gdy ktoś się nie uczy, a tylko liczy, „ufa”, że dobra ocena sama wpadnie mu do dziennika? Potem jeszcze może powie, że miał nadzieję, ale ona go zawiodła. To raczej naiwny optymizm!

Gdy zastanawiam się nad tematem nadziei, przypomina mi się pewna

historia. Otóż Jean-Dominique Bauby francuski dziennikarz i znany redaktor na skutek wylewu zapadł na tzw. syndrom zamknięcia. Został zupełnie sparaliżowany. To co mu pozostało, to odrobina ruchu głową, chrząkanie, mruganie lewym okiem, ale przede wszystkim pozostała mu nadzieja. Nie załamał się, przeciwnie, zdobył się na coś wydawałoby się nierealnego. W takim stanie napisał książkę, która sprzedała się w 400 000 egzemplarzy! Jak to zrobił? Pomogła mu w tym oso-



ba, która recytowała specjalny alfabet (litera w nim były ułożone w kolejności od najczęściej używanych w słowach do najrzadziej używanych), a on mrugał okiem, kiedy wypowiedziała żadaną literę, po czym rozpoczynała alfabet od nowa. W ten sposób, litera po literze, stworzył całą książkę i odszedł z tego świata w 10 dni po jej wydaniu.

Ludzie często załamują się, gdy dotknie ich jakieś nieszczęście. Tracą radość. A przecież powinni tak jak Jean-D. Bauby – nie poddawać się i czerpać z życia co najlepsze. Taką odrobinę nadziei na spełnienie marzeń powinien posiadać każdy z nas. Róbmy co tylko w naszej mocy, a resztę pozostawmy Bogu. Nadzieja będzie nam pomocą, bo to ona wbrew tytułowemu powiedzeniu da nam niezwykłą siłę do pokonania piętujących się przeszkód! Tam bowiem, gdzie płonie mały płomyk nadziei, widać już światło nieba. Do naszego życia tak często zakrada się zniechęcenie, brak wiary we własne siły. Boimy się wielkich i pięknych marzeń, bo nie chcielibyśmy się rozczarować. A Jan Paweł II uczył nas przecież, że to właśnie ona, nadzieja – zawiera w sobie światło mocniejsze od ciemności!

Iwona Ciesielska
ucz. kl. 2c gimnazjum



BANK SPÓŁDZIELCZY W RASZYNIE

www.bsraszyn.pl
rok założenia 1950



Oddział w Komorowie
ul. Beryłowa 34
tel. 22 758 07 18
fax 22 758 05 52

OFERUJEMY:

- kredyty dla podmiotów gospodarczych oraz osób fizycznych
- prowadzenie rachunów dla firm i osób fizycznych
- lokaty i depozyty terminowe
- karty płatnicze
- bankowość internetową
- leasing
- Fundusze Inwestycyjne
- Western Union

Filia w Żbikowie
ul Łączniczek AK 8
tel. 22 738 70 60
fax 22 730 56 35

Filia w Pruszkowie
ul. Przejazdowa 25
tel./fax
22 759 51 28